



KRONIKA ZIEMI ZEGOCIŃSKIEJ

Numer VI

RONIKA IEMI EGOCIŃSKIEJ

Numer VI

Redakcja:

Redaktor naczelna: Joanna Pastuszek-Cybulska
Redakcja: Zdzisław Janiczek, Tadeusz Olszewski, Karolina Wróbel

Adres:

Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej
im. Czesława Blajdy

32-731, Żegocina 316
e-mail: spzz316@gmail.com www.spzz.zegocina.pl

Wydawca:

Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej
im. Czesława Blajdy

Projekt finansowany ze środków samorządu Gminy Żegocina oraz funduszy
własnych Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej im. Cz. Blajdy.

Projekt graficzny i druk:

Wydawnictwo M-STUDIO M. Dryla
www.agencjamstudio.pl

WYDAWNICTWO



ISBN 978-83-64624-36-0

Numer zamknięto: czerwiec 2020 r.



Słowa pierwsze

iedy oddajemy do druku VI numer naszego rocznika, jesteśmy w przededniu lata. Odkąd w marcu ogłoszono pandemię koronawirusa, nasza codzienność nabrała innego rytmu. Musimy o tym wspomnieć, aby zarejestrować w naszej historycznej pamięci, że rok 2020 rozpoczął się dla całego świata poczuciem zagrożenia i niepewności. Dzisiaj, wydaje się, że sytuacja ulega stabilizacji, jednak zmiany, jakie wywołała w naszym funkcjonowaniu światowa epidemia, będą możliwe do oszacowania dopiero w latach późniejszych.

Pozostajemy jednak wierni naszym obowiązkom redakcyjnym. Oddajemy dzisiaj Państwu kolejny numer rocznika, który stanowi dla nas symbol - kronikę, w jakiej odnotowujemy najważniejsze dla naszej lokalnej społeczności wydarzenia i wrażenia. Mamy przekonanie, że za kilkadziesiąt lat będzie ona stanowić dla kolejnych pokoleń naszych Rodaków cenną lekturę pomocną w rozpoznawaniu swojej osobistej tożsamości.

Jak w latach poprzednich, tak i teraz zabieramy Państwa na fronty wojenne. Wędrujemy wraz z pochodzącymi z naszej okolicy żołnierzami przez lądy Azji, Afryki, Europy. Żegnamy na naszej ziemi żegocińskiej żołnierzy pochodzących z odległych lokalizacji - Prus, Austrii, Rosji, Węgier. Zbieramy wspomnienia z wędrówek po świecie, w poszukiwaniu bezpieczeństwa i schronienia, a także przypominamy sobie jak wyglądały wsie naszej gminy w latach PRL-u, ich drewniana mieszkalna i gospodarcza architektura. Wędrujemy też bezdrożami w poszukiwaniu wytchnienia, podziwiając tytaniczną pracę natury, w tym pszczoł pomagających nam każdego dnia w rozwoju upraw. Natura nas kształtuje, warunkuje nasz dobrobyt, dlatego oddajemy jej w tym numerze szczególnie dużo miejsca. Być może znajdzie się wśród Czytelników ktoś, kto zafascynowany lekturą, zechce rozwijać swoje ukryte, rolnicze lub bartnicze talenty?

Droży Państwo, szanujmy daną nam przestrzeń, relacje i wspomnienia. Niech ich pielęgnowanie będzie wzorem dla naszych dzieci, by powielać ten przykład przez kolejne setki lat.

Z pozdrowieniami w imieniu Redakcji,
Joanna Pastuszek-Cybulska
Redaktor Naczelna



DZIEDZIC SZYMON (1917 - 1992)

Opracowanie: Bronisława Dziedzic-Fasuga

Współpraca: Tadeusz Olszewski



Dziedzic Szymon

Szymon Dziedzic urodził się 27 stycznia 1917 roku w Bytomsku, w rodzinie chłopskiej. W 1931 roku ukończył szkołę powszechną w Rajbrocie. W okresie międzywojennym pracował jako sezonowy robotnik rolny. Od 1932 roku był członkiem Koła Związku Młodzieży Wiejskiej RP w Bytomsku, a w latach 1935-39 wchodził w skład jego Zarządu Powiatowego w Bochni. W latach 1937-39 pełnił funkcję Prezesa Zarządu Wojewódzkiego ZMW w Krakowie. W 1935 roku wstąpił do Stronnictwa Ludowego i jako jego działacz uczestniczył w marszu chłopów na starostwo w Bochni w celu zmanifestowania solidarności ze zwolnionymi z pracy robotnikami (1936 r.) oraz strajku chłopskiego w Bochni (1937 r.). Za tę działalność był kilka razy karany aresztem i pobity przez policję.

Po wybuchu wojny kontynuował naukę, kończąc w 1940 roku kursy księgowości spółdzielczej i rolniczej w Bronowicach koło Krakowa (uzupełnił je potem, w 1945 roku, w Kolumnie, powiat Łask). W okresie okupacji hitlerowskiej początkowo pracował w gospodarstwie. W 1941 roku, wspólnie z innymi działaczami założył w Bytomsku Spółdzielnię Spożywców "Zgoda". Wkrótce został kierownikiem tej spółdzielni.

Równocześnie zaczął działalność konspiracyjną, przyjmując pseudonim "Drozd". Od 1942 był przewodniczącym Gminnego Kierownictwa Ruchu Ludowego, a od 1943 przewodniczącym kierownictwa organizacji "Młody Las". Należał do grona organizatorów Batalionów Chłopskich, Ludowego Związku Kobiet i Zielonego Krzyża w gminie Trzciana. Od maja 1944 był członkiem Oddziału Specjalnego "Jastrzębca". Uczestniczył w wielu akcjach sabotażowych i starciach z Niemcami.

Po wyzwoleniu współorganizował struktury Stronnictwa Ludowego w gminie Trzciana. Pracował jako referent do spraw aprowizacji w zarządzie gminnym. Był członkiem Zarządu Powiatowego ZMW RP "Wici" oraz Zarządu Powiatowego SL, a od 1945 - członkiem Zarządu Powiatowego PSL w Bochni. Był radnym Powiatowej Rady Narodowej w Bochni.

W Bytomsku był organizatorem życia kulturalnego i animatorem



społecznym. Jego żoną została Julia Fąfara.

W 1946 roku był zmuszony wystąpić z PSL i wyjechać na Dolny Śląsk. Osiedlił się w Boleścinie (pow. Świdnica) i w 1949 roku objął tamże gospodarstwo rolne. W 1950 roku został członkiem tamtejszej spółdzielni produkcyjnej, w której przez kilka lat (1954-66) był jej księgowym. Od 1967 pracował na własnym gospodarstwie.

W latach 1961 i 1965 uzyskiwał mandat posła na Sejm PRL w okręgu Wałbrzych. W parlamencie zasiadał kolejno w Komisji Handlu Wewnętrznego oraz w Komisji Rolnictwa i Przemysłu Spożywczego.

Zajmował ważne stanowiska w ruchu spółdzielczym. W latach 1952-1968 przewodniczył Prezydium Powiatowego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych w Świdnicy, był także członkiem Prezydium Wojewódzkiego ZRSP we Wrocławiu. W latach 1952-1960 był prezesem, a w latach 1960-1975 wiceprezesem Powiatowego Komitetu ZSL w Świdnicy: od 1954 członkiem Wojewódzkiego Komitetu Wykonawczego, a od 1959 do 1973 wiceprezesem Wojewódzkiego Komitetu ZSL we Wrocławiu. Dotarł wysoko, do funkcji członka Naczelnego Komitetu ZSL (1956 -73). Działal w terenowych radach narodowych, zarządzie oddziału powiatowego ZBoWiD oraz ogólnopolskim Komitecie Frontu Jedności Narodu.

Za swoją działalność społeczną i pracę zawodową był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Orderem Sztandaru Pracy II klasy. Krzyżem Partyzanckim, Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego, Odznaką "Zasłużony Działacz Spółdzielczy".

Zmarł w Boleścinie 20 marca 1992 roku i tam został pochowany.

Źródło:

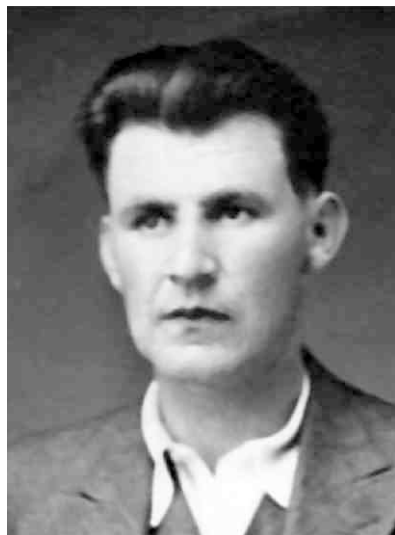
1. <https://bs.sejm.gov.pl/Szymon-Dziedzic>

JANICZEK JÓZEF (1914 - 1944)

Opracowanie: Zdzisław Janiczek

Syn Jana i Rozalii, z domu Mucha. Urodził się 16 marca 1909 roku w Żegocinie. Pochodził z wielodzietnej rodziny, miał ośmioro rodzeństwa. Jego dziadek Aleksander Janiczek był wójtem Żegociny w czasie, gdy budowano w niej murowany kościół (koniec XIX wieku), a ojciec Jan Janiczek (zm. 22.04.1944 r.) zajmował się pisaniem urzędowych pism dla mieszkańców (stąd nazywano go "pisorzem").

Po ukończeniu Szkoły Powszechnej w Żegocinie uczył się masarstwa w Nowym Wiśniczu. Założył w Żegocinie masarnię, a potem sklep spożywczy i towarów mieszanych, który



Janiczek Józef



ulokował we własnym murowanym domu, postawionym w 1936 roku. W czasie II wojny światowej sklep zaopatrywał miejscową ludność w towary, był też dwukrotnie okradziony. Był członkiem Armii Krajowej, należał do II drużyny III plutonu III kompanii, 1 Batalionu 12 Pułku Piechoty AK, placówki "Karaś". Ukrywał przed Niemcami odbiornik radiowy. Na skutek donosu Niemcy przeprowadzili rewizję, ale dobrze ukrytego radia nie znaleźli.

Po wojnie, pomimo wielu trudności, nadal prowadził sklep, zaopatrując go m. in. w Bochni. Towary przywożone były furmanką. Był „zapalonym” pszczelarzem, miał własną pasiekę liczącą około dwudziestu pszczelek rodzin. Prowadził także w Żegocinie skup owoców i miodu. Aktywnie działał w Stronnictwie Demokratycznym, używając swojego domu na zebrania.

We wszystkich działaniach wspierała go żona - Irena Janiczek, z domu Kępa. Wspólnie wychowali trójkę dzieci: Marię, Mariana i Zdzisława. Zmarł 21 sierpnia 1995 roku i został pochowany na cmentarzu w Żegocinie.

KRAWCZYK MIKOŁAJ (1893 - 1975)

Opracowanie: Zbigniew Kępa

Współpraca: Tadeusz Olszewski

Urodził się 17 listopada 1893 r. w Żegocinie, w powiecie Bochnia. Był synem Zygmunta, rolnika i Agnieszki z Bilskich. W 1907 r. ukończył szkołę ludową w Żegocinie, po czym pracował w rodzinnym gospodarstwie. W latach 1909-1911 był dozorcą w bursie gimnazjalnej w Bochni, po czym do 1914 r. sprzedawcą w sklepie bławatnym w Tarnowie.

W czasie I wojny światowej od 10 sierpnia 1914 r. w oddziałach strzeleckich i Legionach Polskich. W stopniu szeregowego służył w III plut. 3 komp. 3 pp Legionów Polskich. Od 1 stycznia do 1 września 1915 r. był przydzielony do sądu polowego II Brygady. W kwietniu 1916 r. leczył się w szpitalu Czerwonego Krzyża w Nowym Targu i Koźienicach, a następnie w Domu Uzdrowieńców LP w Kamieńsku. Po rekonwalescencji 22 lipca 1916 r. został przydzielony do kompanii uzupełniającej nr 2 i 29 lipca skierowany na front. Przydzielony został do 9 komp. 3 pp LP, brał udział w walkach nad Stochodem.

Po kryzysie przysięgowym w Legionach Polskich pozostał w pułku. W grudniu 1917 r. przebywał w szpitalu Czerwonego Krzyża w Suchej. Następnie pozostawał w domu na urlopie zdrowotnym. Wiosną 1918 r. aresztowany przez żandarmerię austro-węgierską, został internowany w obozie w Witkowicach. Decyzją wojskowej komisji lekarskiej zwolniony ze służby wojskowej.

W niepodległej Polsce 10 czerwca 1920 r. wstąpił do Policji Państwowej.



Krawczyk Mikołaj



W stopniu posterunkowego służył na posterunkach w Nowym Targu i Zakopanem. 2 stycznia 1925 r. awansował na st. posterunkowego. Żonaty od 8 maja 1928 roku z Balbiną z d. Piechura, miał z nią synów: Tadeusza (1930-1932), Zdzisława (ur. 1932) i Andrzeja (ur. 1949) oraz córkę Irenę (ur. 1934).

W 1936 r. przeniesiony został na posterunek do Krynicy, był tam szefem tajnej kancelarii. Awansował do stopnia st. przodownika. Na polecenie władz zwierzchnich 29 sierpnia 1939 r. ewakuował akta tajnej kancelarii w kierunku wschodnim.

Podczas II wojny światowej, po agresji sowieckiej 17 września w Stanisławowie, dostał się do niewoli. Wkrótce potem zbiegł i w grudniu przedostał się do Żegociny. Zgodnie z poleceniem władz niemieckich zgłosił się do służby w policji na posterunku w Krynicy. Służył tam do 10 czerwca 1940 r., po czym przeniesiono go do Rabki, a w sierpniu 1942 r. do Zakopanego. W marcu 1943 r. uznany przez niemiecką komisję lekarską za niezdolnego do służby, przeszedł na emeryturę. Pracował w fabryce naczyń kamiennych w Bochni.

Po zakończeniu wojny, w 1946 r. Komisja Rehabilitacyjno - Kwalifikacyjna dla byłych funkcjonariuszy Policji Państwowej wystawiła mu pozytywną opinię. W 1952 r. powrócił do Zakopanego, gdzie pracował w fabryce nart przy ul. Kasprusie, a potem w Spółdzielni Inwalidów.

Zmarł 2 czerwca 1975 r. w Zakopanem i został pochowany na tamtejszym Nowym Cmentarzu Parafialnym przy ul. Nowotarskiej, kwatera 49.

Odznaczony Krzyżem Niepodległości.

Źródło:

1. L. Dall, Kwatera Legionistów Polskich na Nowym Cmentarzu w Zakopanem, Zakopane 2018; Monitor Polski nr 287/1931.

PAWŁOWSKA ALEKSANDRA (1910 - 2004)

Opracowanie: Joanna Pastuszek-Cybulska

Aleksandra Józefina Łucja, córka Klemensa Rutowskiego i Aleksandry z d. Armatowicz, urodziła się 14 lutego 1910 roku w dworze w Łąckiej Górnej, a ochrzczona została w przydwornej kaplicy. W 1919 roku rozpoczęła naukę w przyklasztornej szkole sióstr niepokalanek w Nowym Sączu, gdzie uczyła się przydatnych w domu umiejętności - gotowania, zarządzania gospodarstwem domowym, szycia, florystyki, itp.

14 lutego 1931 roku poślubiła aktora Wacława Pawłowskiego, występującego m.in. na deskach teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.



Pawłowska Aleksandra



Wkrótce potem urodziła im się jedyna córka, Zuzanna. Po sześciu latach małżeństwa, w wypadku, Ola traci swego męża, który tonie w Morzu Bałtyckim (był to tragiczny finał ich wypoczynkowego rejsu Wisłą). Zła sytuacja finansowa zmusza Olę do podjęcia pracy.

W lipcu 1939 roku oddelegowana zostaje przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych (gdzie pracuje), do zadań w Danii. Po niemieckiej inwazji na Polskę we wrześniu tego samego roku, Ola pracuje dla Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, w Angers, a po ataku nazistów na Paryż, w czerwcu 1940 roku, ewakuowana jest wraz z innymi urzędnikami do Lourdes. Wtedy to decyduje o wyjeździe z Francji do bezpieczniejszego miejsca. Podejmuje pracę w Czerwonym Krzyżu, i drogą przez Portugalię, po wielu próbach uzyskania wizy, osiada w Kanadzie. Tam styka się po raz pierwszy z wiarą bahaicką.

Fascynacja nauką Baha'u'llaha powoduje, że Ola dołącza do tej wspólnoty religijnej. Odkrywa w sobie misję głoszenia wiary bahai i zgłasza się jako ochotniczka do pełnienia roli misjonarki tej wiary (rola pioniera wiary). Uzyskuje zgodę na podjęcie misji, i przez niemal pięćdziesiąt lat służy swoim świadectwem wiary i pomocą w wielu krajach - najdłużej pracuje w misjach zakładanych w Afryce. Swoją obecność zaznacza w takich miastach, jak m.in. Kinszasa, Katanga, Kampala, Dakar, Akra, Abidżan, Lagos, Libreville, Kongo, Kivu, Chartum, Kasai, Mweka, Adis Abeba, Likasa, Kigali. Przez cały ten czas buduje wspólnoty wiary bahai, pomaga w nauce dzieci i medycznym zaopatrzeniu najbardziej potrzebujących Afrykańczyków.

W czasie swojej aktywności, dwukrotnie odwiedza Polskę. Podczas jednej z wizyt przybywa na dwór należący do jej ukochanego dziadka, Adama Armatowicza w Łąckie Górnej (w tym okresie dwór należy już do krakowskiego przedsiębiorstwa). Z nostalgią wspomina swoje dziecięce lata spędzane na ziemi łąckiej, wędruje też do Żegociny, aby przypomnieć sobie miejsca, gdzie wspólnie z przyjaciółmi spędzała swoje młodzieńcze chwile.

W roku 1993, Ola kończy swą misyjną posługę i powraca z kontynentu afrykańskiego do Kanady, gdzie w ostatnim etapie swojego życia osiada w Torbay, na ziemi nowofundlandzkiej. 2 kwietnia 2004 Ola Pawłowska umiera i pochowana zostaje w Torbay. Na jej nagrobku widnieje napis „Rycerz Baha'u'llaha” - tytuł nadawany najbardziej zasłużonym przedstawicielom tej religii.

Źródło:

1. materiały własne oraz „Legacy of Courage. The life of Ola Pawlowska. Knight of Baha'u'llah” aut. Suzanne Schuurman

SATOŁA ROMANA JADWIGA (1944 - 2017)

Opracowanie: Tadeusz Olszewski

Romana Jadviga Satola urodziła się 20 lutego 1944 roku w Wilkowisku. Była córką Julii Adamczyk i Jana Pączka. Tu ukończyła klasę pierwszą, po czym wraz z rodziną przeniosła się do Żegociny. Po ukończeniu klasy siódmej rozpoczęła naukę w Liceum Pedagogicznym w Limanowej i zdała maturę w 1963 roku. W 1974 roku



skończyła zaocznie Studium Nauczycielskie w Tarnowie na kierunku wychowanie techniczne.

Jako nauczycielka pracowała od 1 września 1963 roku w Szkole Podstawowej w Zbydniowie, potem w latach 1967 do 1976 w Szkole Podstawowej w Łąckiej Dolnej. Ślub z Satołą Adamem Józefem (urodzonym 10.02.1941 w Zbydniowie, syn Katarzyny Sroka i Leona Satoły) odbył się w dniu 17 czerwca 1967 roku. Ich małżeństwo zaowocowało dwojgiem dzieci: córka Renata Jolanta i syn Rafał. Od 1976 do 31 sierpnia 1999 r. pracowała w Zbiorczej Szkole Gminnej i później w Szkole Podstawowej w Żegocinie, po czym odeszła na zasłużoną emeryturę.



Satola Romana

Wychowała wiele roczników uczniów w trzech miejscowościach, uczyła ich czytać, pisać, liczyć i być dobrymi ludźmi. Przez wiele lat uczyła w nauczaniu początkowym, potem geografii i techniki.

Za osiągnięcia w pracy dydaktyczno – wychowawczej trzykrotnie otrzymała nagrody Kuratora Oświaty (1992, 1995, 1998) oraz Nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania III stopnia (1979 r.)

Zmarła 23 listopada 2017 roku w Limanowej, pochowana 25 listopada 2017 roku na cmentarzu parafialnym w Żegocinie.



Władysław Hejmo

Kampania wrześniowa, to był najgorszy okres w moim życiu

(Wspomnienia spisała w 2002 roku wnuczka Władysława Hejmo – Agata Twardowska)

Część druga

Pierwsze wyszło lotnictwo. Dobrze. Przyszedł termin. A jeszcze w międzyczasie nauczyliśmy kunsztu wojskowego tych żołnierzyków, co z Andersem przyjechali. Spotkałem tam z mojej drużyny niejakiego Zaydela. Żyd z wyższym wykształceniem. On był przed wojną dziennikarzem sportowym. Przemiły facet, o dużej wiedzy. Jechał w jednym transporcie z żoną. Żona go nie poznała i on żony. Za ten okres pobytu w Rosji tak się zmienili. On ołysiał, ona posiwiiała, miała jakąś chorobę taką, wypadły jej zęby. Nie poznali się od razu. Przemiły facet. Dużo od niego skorzystałem. Ja oszczędzałem tego Zaydla. Takie różne brudne roboty jak to są w wojsku, to jego do nich nie wyznaczałem. Ale dla czego to mówię. Bo go spotkałem później, gdy wróciłem do Polski, w Morskim Oku. Ja go poznałem, on mnie nie poznał, bo ja wydorostałem. Ja mówię:

- Pan Zaydel?

- Tak.- a on dopiero po głosie mnie poznał - jak mam mówić: panie drużynowy czy Władek, czy Hejmo?

- Jak pasuje, co pan czuje.

Poopowiadaliśmy sobie dużo.

- Czemu pan wrócił, przecież dużo Żydów zostało w Palestynie.

- Ja - mówi - Żyd, ale Polak.

I wrócił. Nie wiedziałem czym on się zajmował, jaką on funkcję pełnił tutaj. Jeśli chodzi o Żydów to jest jeszcze taka ciekawostka. W drużynie był Totenberg, Żyd z Drohobycza, inżynier, szeregowiec. Ja miałem takie buty, taki szpan był, nie półbuty tylko takie buty z cholewami, na słoninie - tak się nazywała ta zelówka, była biała, a buty zamszowe, krótkie spodnie, albo długie, były takie rakiety, które miały spodochronik mały, to z tego - apacha. Taki był szpan. Tak żołnierzyki chodziły. I on pożyczył ode mnie te buty i tę apachę i spodnie długie na przepustkę. No, pożyczyłem. Nie wrócił. Uciekali. Taka była cicha zmowa, żeby żandarmeria ich nie ściagała, bo co to za żołnierz jak siłą go będziesz ściągać do oddziału. I nagle gdzieś tak po miesiącu ja się patrzę, a on jest. Jak mnie zobaczył, schował się. Przecież bym nie poszedł do niego, bo by mnie Żydki może i pobili. I rano zbiórka jest, melduję, że Totenberg nie wrócił z przepustki.

- Karabin wziął?

- Nie, tylko moje spodnie i apaszkę, i buty.

- To twoja strata.

Jeszcze widziałem taką scenę pod kinem, jak Polak rozpoznał Żyda, przez którego cała rodzina została wywieziona na „białe niedźwiedzie”. Doszło do rękoczynów. Polak miał przewagę nad Żydem. Nikt tam nie interweniował, tylko tak żeśmy obserwowali. Ktoś zadzwonił, żandarmeria przyjechała i obydwu zabrali. Przez tego Żyda, który był gdzieś na terenach wschodnich, kapował, był wielkim komunistą już wtedy tego Polaka wraz z całą rodziną wysłali na „białe niedźwiedzie”.

Szkolenie. Do Iraku pojechaliśmy. W Iraku były pola naftowe, szyby. Pilnowaliśmy, żeby tam nie było sabotażu wraz z całym korpusem Andersa. Z Suezu wyjeżdżam w końcu do tego lotnictwa. Do Suezu dotransportowali nas i z Suezu na statek „Il de France”. Płyniemy do Anglii nie przez Gibraltar tylko wokół całej Afryki, bez konwoju. W Durbanie byliśmy, bo dostaliśmy torpedę, ale statek nasz był już na tyle nowoczesny, że miał komory. W jednej komorze już była woda, stateczność miał inną, ale mógł płynąć. W Durbanie nam zaaplikowali jakieś pompy, które wyrzucały wodę, no i dopłynęliśmy do Anglii.

Durban, Południowa Afryka. Miasto o dwóch skrajnych biegunach: albo taka nędza, że coś okropnego, albo taki przepych, że trudno sobie wyobrazić. Były dzielnice, gdzie Czarny bez przepustki nie mógł wejść. Podejmowano nas tam z taką pompą, bośmy byli pierwszymi ludźmi, z którymi ich bracia czy inni znajomi walczyli w Tobruku. Południowoafrykańczycy też walczyli w Tobruku, bo to była kolonia angielska. Ciekawe tam różne rzeczy się działy.

Anglia. W oczekiwaniu na szkolenie zostałem wcielony do 304 Dywizjonu Bombowego. Zadanie tego dywizjonu polegało na tym, że patrolowali morza i łodzie podwodne, statki... Taka była nieprzyjemna historia w tym czasie, kiedy ja tam byłem oczekując na szkolenie: wystartowała maszyna, Wellington, jeden z załogi zapomniał spadochronu. Maszyna gdzieś została uszkodzona, nie mogła lądować, no więc pilot dał rozkaz przygotować się do skakania kiedy się okazało, że jeden z członków nie ma spadochronu. Trudno skakać i jednego zostawić, zdecydowali się, że będą lądować nie na lotnisku tylko na terenie niezabudowanym. Wylądowali, ale jakoś pechowo, że maszyna zaczęła się palić, a ten, który nie miał spadochronu był w pełni sprawny, reszta albo zabici, albo ranni. Wyciągnął kogo się dało z tego wraka. Napisał karteczkę żeby mu rodziny tych, którzy zginęli przez niego, wybaczyli i władze, wyciągnął z kabury pistolet i zastrzelił się. Zszokowana była cała załoga tego lotniska. Okropna sprawa. O niczym innym się nie mówiło, tylko o tym.

Nie pamiętam, jak długo oczekiwałem na tę Szkołę Strzelców Pokładowych w Hacknow (?). Tam żeśmy dostawali lekcje języka angielskiego, uczyliśmy się całymi dniami. Później, po opanowaniu podstawowych zasad angielskiego uczono nas: astronomii, kunsztu strzelania z wieżyczek. Wszystko było na razie teoretycznie. Były takie wieżyczki zainstalowane i tam się w tej wieżyczce różne takie dryle odstawiało. Ważną rzeczą było opanować do perfekcji rozpoznawanie samolotów, żeby nie strzelać do swojego. Były takie testy: pokazali ci kawałek płatu i musiałeś wiedzieć z jakiego to samolotu, nie cały samolot, bo cały to szybko rozpoznasz, ale kawałek płatu, kawałek statecznika. I egzaminy były. Później uczono



nas nadawania Morsem. Oczywiście nie w jakimś tempie zawrotnym. W różnych tych kierunkach zostaliśmy przeszkoleni. Dobierała się załoga.



Anglia. W Dywizjonie 300. dziadzio drugi od lewej (fot. archiwum rodzinne)

Najpierw lataliśmy na Wellingtonach. Maszyny dwusilnikowe, które praktycznie mało były używane do działań bojowych, bo były starego typu, ale praktycznie na tych maszynach żeśmy się szkolili. Załoga była kilkuosobowa, tzn. dwóch pilotów, nawigator, bombardier, dwóch strzelców: przedni i tylni. To trwało bardzo długo. Żeby się zgrać, żeby bez żadnego gadania za pomocą wzroku rozumieć się. Później jak się okazało w czasie lotów bojowych to była bardzo ważna sprawa. Szkoliliśmy się. Były między innymi skoki z wieży spadochronowej, nie samolotu, tylko z wieży. Lataliśmy w powietrzu, a w pobliżu był samolot, który ciągnął worek i do tego worka się strzelało. Była zainstalowana kamera fotograficzna czyś trafił, czyś nie trafił do worka, pociskami ostrymi oczywiście. W wieżyczce dwa cekaemy. Wieżyczka była poruszana za pomocą hydrauliki, czyli stężony na olej. Jakżeś nacisnął na odpowiedni przycisk to ta wieżyczka obracała się. Ja źle się czułem w przedniej wieżyczce przy lądowaniu. Zdawało mi się, że runiemy w ziemię. Nie mogłem tego przełamać. „Wyskoczyłem” z wieżyczki przedniej i wsiałem do tylnej - tam się dobrze czułem.

Lataliśmy w Irlandii. Latania, latania - ciągle jeżeli tylko warunki atmosferyczne pozwalały. Cały czas szkolenie. Było nas tam chyba dwudziestu na takim szkoleniu, z nami był oficer - Polak, który nas tam pilotował. To było przed Bożym Narodzeniem. Gros Irlandczyków jest wyznania rzymsko - katolickiego



i wymyślili sobie żebyśmy na wigilię w kościele zaśpiewali parę kolęd polskich. Był taki między nami facet, który umiał na fortepianie grać, przećwiczyliśmy takie melodyjne kolędy, na tą pasterkę. Przychodzi pasterka, ale od kolacji do pasterki kupę czasu, każdy tam coś wypił, i jak żeśmy poszli na tę pasterkę, jest ten moment, w którym my mamy zaśpiewać, pianista zaintonował jakąś melodię tanga i my wszyscy śpiewamy to tango. Anglicy po tej imprezie okropnie nam gratulują, że takie mamy melodyjne kolędy, a oficer do nas z hukiem: profanacja godności Kościoła....

W wojsku kościoły wyglądały w ten sposób: każdy dywizjon miał kościół, na niedzielę odsłaniało się ołtarz, a w dzień powszedni zasłaniało i w tym pomieszczeniu była sala gimnastyczna. Duży nacisk kładli na sprawność fizyczną. Dużo się ćwiczyło, na baseny się jeździło. Ćwiczyliśmy takie dingowanie. Dinga to jest taka łódka, jakby się lądowało na wodzie to za pomocą sprężonego powietrza z takiego pomieszczenia wyrzucona zostaje ta dinga przywiązana linką i załoga wchodzi na tę łódź. Tam suchy prowiant, busola, takie rzeczy jakby zaistniała konieczność pływania kilka dni po morzu. Tego wszystkiego trzeba było się nauczyć, bo to nie wiadomo co mogło spotkać.

Po Irlandii pojechaliśmy do Anglii. Jeszcześmy popłynęli statkiem „Quinn Mary”, bardzo duży statek, do Kanady. W Kanadzie szkolenie. A dlaczego myśmy wyjeżdżali z Anglii? Bo już przygotowywali się do inwazji. Był tłok w powietrzu samolotów i żeby większego nie robić, to tych wszystkich uczniów do szkolenia w powietrzu wysyłano albo do Kanady, albo do Irlandii. Na tym statku: makabra. Raz dziennie jedzenie, po cztery godziny stało się w kolejce po jedzenie. Amerykanie grali w kości, bo Amerykanie też płynęli z nami. Tam byliśmy parę tygodni. I w Kanadzie taka brzydka sprawa wynikła. Jesteśmy na takim koncercie, gdzie Kiepusza miał występować. Z jakich przyczyn, dlaczego tak zrobił Kiepusza trudno powiedzieć: wyszedł na scenę i wiedział, że ma widownię polską - zapomniał po polsku, tylko po angielsku gadał. Więc co kto miał w kieszeni w Kiepusze Jasia, rzucił na scenę. Jasiu się schował, wszyscy wyszli. Sława sławą, ale urodziłeś się w Polsce w Sosnowcu, toś powinien do Polaków po polsku mówić.

Po przyjeździe z Kanady szkolenie już na Lancasterach. Czterosilnikowe maszyny o wysokiej klasie w tym czasie. Załoga to: dwóch pilotów, obserwator, nawigator, spec od brzęczyka czyli łącznościowiec, dwóch strzelców i bombardier. Długośmy się szkolili, długo. U mnie był pilotem starszy ode mnie chyba o dwa lata facet, Marian Kołodziejczyk. Obiady załoga wspólnie jadła, każdy znał życiorys drugiego, tak żeśmy się zaprzyjaźnili, że załoga dotarła się. Latamy nad Anglią. Mnie zaliczyli dwanaście lotów bojowych. Okropnie czuliśmy się w czasie pierwszego lotu, drugiego, trzeciego w powietrzu. Bo jak artyleria strzela z ziemi, to będąc w samolocie w nocy odnosisz wrażenie, że wszystkie te pociski, które widzisz, lecą w twój samolot. Nawet mówić żeśmy nie mogli. To takie złudzenie. Wszyscy doświadczeni nam mówili, że to jest złudzenie, że tak nie jest. Było jeszcze duże nieszczęście dla Polski. Wszyscy to przeżywaliśmy, jak zginął generał Sikorski w Gibraltarze. Kto to zrobił? Dyskusje... Później ten rząd nie był tak skonsolidowany



jak w okresie Sikorskiego. Naczelnym Wodzem został generał Sosnkowski, premierem został z partii chłopskiej witosowiec przedwojenny, Mikołajczyk. Śmierć Sikorskiego to było okropne przeżycie.

Zakończyła się wojna. Lataliśmy jakieś dwa tygodnie chyba po wojnie. Polecieliśmy z dziennikarzami do Berlina. To zrobiło wrażenie, jak Berlin został zbombardowany. Ale już się organizowali. Weszliśmy do takiej jakiejś herbaciarni, knajpki w jakiejś piwnicy. My w mundurach polskich, więc wiedzieli, że jesteśmy Polakami. Płaciło się nie pieniędzmi, tylko mieliśmy wiadomości, że herbata tam idzie bardzo, papierosów nie mieli Szwabi. Jak zgasiłeś papierosa w popielniczce to już kelner brał tę popielniczkę i peta zabierał i sprzedawał komuś. Kawa, herbata... Coś tam wypiliśmy, mieliśmy swoją whisky. Cały ten lokal zajęty był przez Polaków. Kilka tych stołów było. Coś komuś wpadło do głowy, żeby ta orkiestra, która tam brzęczała na tej zaimprovizowanej scenie, żeby zagrali Hymn Polski.

Nie umieli. Ale szybko, gdzieś ktoś polecał po nuty i dranie zagrali. To mi się utrwaliło jak żeśmy wyżywali się na nich i wymuszali pewne rzeczy. Później lataliśmy dużo do Włoch. Po wojnie przywoziło się z Włoch starszych panów, oficerów, schorowanych czy rannych do Anglii. To się latało bez spadochronu, tak jak w samolocie pasażerskim. Nie wolno było załodze mieć spadochronu, bo pasażer też nie miał. To był pewien dreszczyk. Wracasz, nie wracasz? Już niektórzy zdecydowali się, że wracają. Był taki pułkownik, dowódca tego Dywizjonu 300, w którym ja byłem, bombowego, Cwynar nazwisko, pilot z pierwszej wojny światowej, ale w czasie drugiej już nie latał, bo przekroczył wiek. Zrobił zebranie wszystkich podoficerów w kasynie podoficerskiej i agitował za tym żeby zostać, żeby nie wracać. Był taki chorąży z krzyżem Virtutti, po dwóch kolejkach, a jedna kolejka wynosiła pięćdziesiąt lotów, pięćdziesiąt lotów to jest kupę czasu spędzonego w powietrzu, mogłeś nawet mieć wypadek w czasie lądowania czy startowania, co dopiero nad terenem nieprzyjacielskim, to trzeba było mieć dużo szczęścia, żeby tyle lotów przeżyć. Chorąży zabiera głos i mówi:

- To w takim razie my byliśmy żołnierzem najemnym, bo nie mamy Ojczyzny takiej jak żeśmy sobie kombinowali, przehandlowali pół Polski – mówi – ja wracam. Pan pułkownik jeżeli nie wraca, bo sobie pan pułkownik ściągnął tu rodzinę i tu sobie stworzy domek w Anglii, ale ja nie mam pieniędzy na to żeby ściągnąć tu rodzinę, bo przez zieloną granicę, za dolary tuż po wojnie ludzie przechodzili na zachód. Szum, krzyk, konsternacja, ten pułkownik zaczął się zachowywać „nie bardzo”, że mu wygarnął, że ma swoją rodzinę w Anglii. I tak trwało, że byłem niezdecydowany gdzie jechać. W końcu wymyśliłem sobie, że jadę do Australii. Pierwszeństwo wyjazdu do Australii mieli tzw. Szczury Tobruku. Australijczycy walczyli w Tobruku i oni stworzyli takie przyjemne warunki dla nas Polaków, którzy walczyli w Tobruku, żeby przyjeżdżać do Australii. Pojechali kumple pierwsi, napisali mi: Władek nie przyjeżdżaj. Okropne warunki. Dwa lata kontrakt, Tasmania - wyspa koło Australii, skoszarowani, zamiast karabinu to łopata, sprzęt mechaniczny jakiś. I tam trzeba było po dziesięć godzin dziennie pracować. A miasteczko jakieś sto mil od miejsca, gdzie budowali tę tamę, elektrownię tam jakąś chcieli wybudować, takie



miasteczko malutkie, nudy niesamowite. Nie przyjeżdżaj. Nudziliśmy się. No to ja zrezygnowałem, ale wymyśliłem sobie, że jeszcze nie decyduję się na powrót do Polski.

Nawiązałem łączność z rodziną. Tydzień nosiłem list z Polski, nie miałem odwagi otworzyć. Co tam się dzieje w Polsce? Kumpel mówi: - Coś ty dumny? - otwarli mi ten list. No więc: Tato był chory, brat Staszek, młodszy ode mnie o dwa lata, był w ... (nazwa niejasna), Józek uciekł z niewoli w 39 roku. I tyle wiadomości z Polski miałem.

Decyduję się w końcu w 1948 roku na powrót do kraju. Dostało się „war graduity” - taka odprawa wojenna, to było uzależnione od stopnia i od ilości lat. To było parę groszy, co mogłem to tam dokupowałem i na statek. Przyплыliśmy do Polski.



Władysław Hejmo - pierwszy z lewej w środkowym szeregu. Powrót do Polski.

Nieprzyjemny incydent: schodzimy ze statku, pierwsi niewidomi, którzy stracili wzrok na wojnie i pomalutku oni schodzą i Polak taki (jak szybko gadał to myśmy go nie mogli zrozumieć), w mundurze polskim, i mówi: - Ślepi szybciej! Ruszyło to ludźmi. Jacy ślepi?! Ślepy to koń był w kopalni w Wieliczce, a człowiek jest niewidomy. Wszyscy z powrotem na statek i po paru godzinach wyszedł inny, tego gdzieś schowano majora, wyszedł inny, przeprosił i zeszliśmy. Ale dwóch już nie zeszło, już zrozumieli jakie tu stosunki panują w Polsce i nie zeszli ze statku. Za druty nas, do takiego obozu w Gdyni, no i tam kontrola celna, czy coś nie szwarcujesz: broń, jakieś ulotki. Po tej kontroli dwóch takich kolegów z wojska,



z piechoty. Sagan i Puzon, oficerowie, mówią do mnie: - Idźże, bo nam nie wypada oficerom, tobie lepiej wypada, do wartownika żeby nam pozwolił wyjść pod druty, gdzieś na jakąś mądrą kolację. Bo oni przyjęli nas kawą i wojskowym chlebem. Podszedłem do wartownika, to byli rezerwiści, starsi tacy panowie, ja mówię:

- Papierosy będą i zelówki ...

- Dobra.

I wyszliśmy. Szybko taksówkę, do miasta. W mieście: kotlet schabowy, wtedy była modna taka wódka - krople soku do kieliszka, spirytus - „Tata z mamą” to nazywano. Pół litra stoi, te kotlety jemy, wchodzi dwóch żandarmów, oficer i podoficer: czy mamy przepustki? Nie mieliśmy żadnych przepustek. Pozwolili nam skonsumować, myśmy im tam przesłali przez kelnera po kanapce, no i:

- Panowie nie macie przepustek, to musicie iść z nami do kicia. Musi się sprawa wyjaśnić. Ale byli tacy mądrzy, sympatyzowali z tymi ludźmi, którzy walczyli na Zachodzie. Pozwolili nam wziąć pół litra jeszcze do chlebaczka, myśmy wzięli. Sznurówki na tej wartowni wyjąć, ale to pół litra sobie wzięliśmy do celi, przeleżeliśmy na tych dechach całą noc. Rano nas przywieźli do obozu. Chyba uratowało nas to, żeśmy byli po kontroli celnej.

Przyjazd do Bochni. Parę wagonów było do Przemyśla, wszyscy ci, którzy po drodze wysiadamy, czekamy. Zatrzymał się pociąg na dworcu w Krakowie: prowokator, nie prowokator widzi, nas w mundurach angielskich, krzyknął do nas:

- Kup, zdrajco, gazetę!

Wagon się tak ruszył, ale jakoś wszyscy wyhamowali. Przyjeżdżam do Bochni. W Bochni się rzuca na mnie jakaś pani, „ślini” mnie, całuje mnie, ja się nie bronię, bo była ładna. Pomyliła mnie, że ja jestem bratem. Ja mówię: nic z tych rzeczy, ja się nazywam tak i tak, jadę do Żegociny, ale nie wszyscy się załapali na ten pociąg, jutro czy pojutrze będzie następny – uspokoiłem ją, bo biedna się rozplakała.

Jak się tu dostać do Żegociny, 21 kilometrów, żadnej komunikacji. Ale dorożkarz tam taki był. Habeto, koń taki wychudzony i jedzie do Żegociny. To było na przednówku, koń taki chudy, owśa mało jadł, zamiast bata był jakiś patyk, pod górkę ledwo ciągnął tę dorożkę ten konik. W Łącku były dwa kilometry do mojego domu. Koń już tak osłabł, że nie mógł dalej iść. Zostawiłem tego dorożkarza z tym swoim bagażem, wziąłem tylko chlebak i pieszo dwa kilometry poszedłem do domu. Szok wszyscy, bo nie wiedzieli dokładnie kiedy ja przyjadę. Nie było brata Staszka, a brat Józek miał takiego chłopaka, który miał może pięć lat, albo sześć, Tadek, i poszedł szukać - Wujek Władek przyjechał!

- A skąd wiesz, że wujek Władek?

- Bo poznałem.- A on mnie przecież w życiu nie widział! Zameldowałem się na milicji, bo tam trzeba się było zameldować. Panfil, był taki starszy sierżant. Później musiałem się zgłosić w RKU w Bochni. Zgłosiłem się tam i zaczęły się numery. Nigdzie roboty nie mogę dostać, bo to z Zachodu. Idę wieczór. Taki milicjant, pijany w cztery litery, z pepechą do mnie. Zatrzymał mnie: Stój, kto idzie?! Ja mu mówię kto idzie. Podszedłem tak blisko niego, szarpiłem za tą pepechę, wyrwałem mu ją



i przyniosłem do domu.

Ojciec mówi:

- No toś dorządził.

Brat przyszedł i mówi:

- Władek, co ty się wygłupiasz, ty tu nic nie zmienisz. Tak tu jest.

A strzelali po pijanemu do linii wysokiego napięcia ci milicjanci. W ten wieczór przylatuje szybko komendant i mówi do mnie żebym oddał tą pepechę.

Ja mówię:

- Nie oddam. Jadę z tą pepechą na powiatówkę, do Bochni. Przecież tu się nie da wieczorem chodzić.

Zachowujecie się - mówię - jak gangsterzy.

Ale brat mówi: - Oddajże, ty na pewno tu nie będziesz mieszkał w Żegocinie, więc po co ci to. Nie zmienisz nic - mówi.

Zaczął skomleć ten komendant, że jego podwładny ma dwoje dzieci, że go wyrzucą, że to, że tamto. No i oddałem.

Mam wezwanie na UB w Bochni. Przyjeżdżam na rowerze. Oczywiście rewizja przed wejściem do tego pomieszczenia, gdzie UB się mieściło. Po cywilnemu facet był, nie wiem w jakim stopniu i mówi, że mogę mieć pracę w Bochni, że otwierają jakiś duży sklep i ja będę kierownikiem sklepu. Ale warunek taki, żebym ja współpracował z nimi, z ubowcami.

- Ja nie mogę być kapusiem, a jeżeli bym wiedział, że ktoś działa przeciw Polsce to nie donoszę, tylko złożę pismo z czytelnym podpisem, że ktoś coś źle robi dla Polski. No oczywiście on mnie tam nakłaniał, komentarz taki, siaki, przekonywał. I wyszedłem. Gdzieś za trzy dni przyjeżdżają Wilisem we czterech - rewizja w domu.

Ojciec mi mówi:

- Niech przyjdzie tu brat, Staszek - a brat pracował w Samopomocy Chłopskiej w Żegocinie.

Staszek przyszedł i mówi: - Uważaj żeby tu coś nie podrzucili, jakąś świnię, żeby obciążyć ciebie.

Przetrzepali cały dom, strych, piwnicę, stodołę. Cały dzień szukali i nic nie znaleźli. I tak się zaczęła moja egzystencja po powrocie do Ojczyzny. Traktowano nas okropnie. UB za mną szwendało się później w Krakowie. Mieszkałem u stryjków na ul. Królowej Jadwigi i tu złapałem pracę w spółdzielni. Dzwonek. W domu ja jestem i kuzyn Władek. To samo nazwisko, to samo imię, i to samo imię miał też stryj. Dzwonek. Kuzyn wychodzi. - Do Władysława Hejmo.

- Ja jestem.

- Do tego, co był za granicą.

- Byłem za granicą. Myślał, że się robi jakieś jaja z niego. Słyszę to wszystko, wylatuję:

- To chyba chodzi o mnie - mówię

- A co ten młodzieniec robi ze mnie...

- Nic nie robi, bo był za granicą. Zdał maturę z wyróżnieniem, gdzieś pojechał za



granicę - mówię: liceum go w ten sposób wynagrodziło. Hejmo? Hejmo Władysław? Władysław? Nikt tu nie chciał z pana zakpić.

Ożeniłem się. Mieszkaliśmy w Dębnikach. Przychodzili do domu: czy nie ma jakichś zebrań, spotkań. Nawet Cyganie pracując dla nich przychodzili „wąchać” co się dzieje u mnie w mieszkaniu. Garść pieniędzy mi daje raz taki ubek, bo widział w jakim prymitywie mieszkaliśmy w Dębnikach: pokój z kuchnią, ustęp na zewnątrz w sieni, bo trudno to nazwać korytarzem, taki to był domek jednorodzinny, zdewastowany, zniszczony.

- Mieszkanie dostaniecie.

- Mogę zupełną ziemniaczaną jeść, ale na to nie pójdę! - Bo oni chcieli mieć wtykę w postaci mojej osoby, żeby donosić na różnych kolegów, tych którzy wrócili z Anglii. Podobne rzeczy przeżywali inni: żebym ja na niego, a on na mnie.

Dziękujemy Panu Januszowi Hejmo za udostępnienie wspomnień i materiałów archiwalnych. Krótką biografię Władysława Hejmo zamieściliśmy w „Kronice Ziemi Żegocińskiej” nr 4 z 2018 roku.

KONIEC



"Kronika Gminy Żegocina", tom II, część trzecia

Giełda Owoców i Warzyw 26.IX.1982

Giełda owoców i warzyw w Żegocinie

W dniu 26 bm. odbędzie się w Żegocinie giełda owoców i warzyw, na którą władze gminy zaprosiły dyrekcje i komisje socjalne wszystkich zakładów pracy woj. tarnowskiego. Celem giełdy jest umożliwienie zakupu przez zakłady pracy owoców i warzyw bezpośrednio u producentów. Giełda trwać będzie od godz. 10 do 15, a w jej programie znajdują się między innymi: wystawa warzyw i owoców zorganizowana przez spółdzielnię ogrodniczą w Bochni i Łąckie, zwiedzanie sadów w Leszczynie i Trzcianie. Odbędzie się również szereg imprez towarzyszących, sportowo-rekreacyjnych i kulturalnych. (rz)

Wycinek z „Gazety Krakowskiej” nr 161 z dnia 22.09.1982

W dniu 26 bm. odbędzie się w Żegocinie giełda owoców i warzyw, na którą władze gminy zaprosiły dyrekcje i komisje socjalne wszystkich zakładów pracy woj. tarnowskiego. Celem giełdy jest umożliwienie zakupu przez zakłady pracy owoców i warzyw bezpośrednio u producentów. Giełda trwać będzie od godz. 10 do 15, a w jej programie znajdują się między innymi: wystawa warzyw i owoców zorganizowana przez spółdzielnię ogrodniczą w Bochni i Łąckie, zwiedzanie sadów w Leszczynie i Trzcianie. Odbędzie się również szereg imprez towarzyszących, sportowo-rekreacyjnych i kulturalnych. (rz)

Trwa giełda owoców i warzyw w Żegocinie

Na terenie Żegociny trwa giełda owoców i warzyw zorganizowana przez miejscowy Urząd Gminy przy współudziale WSO w Bochni i Spółdzielni Ogrodniczej z Łątki Górnej. Powodzeniem cieszy się detaliczna sprzedaż nie tylko owoców i warzyw, ale też i miodu, którego tegoroczne zbiory na terenie gminy są znaczne.

Jak nas poinformował naczelnik gminy Żegocina, Leopold Grabowski, służba rolna i komisja socjalna przy Urzędzie Gminy pełnią rolę koordynatora zakupów owoców i warzyw bezpośrednio u producentów. Korzystną ofertę przedłożyły spółdzielnie ogrodnicze. Tylko 15 procent wynosi marża za owoce dostarczane za pośrednictwem tych instytucji. Szkoda jednak, że nie wszyscy



Słabe zainteresowanie komisji socjalnych

Tarnowskiego

Trwa giełda owoców i warzyw w Żegocinie

Na terenie Żegociny trwa giełda owoców i warzyw zorganizowana przez miejscowy Urząd Gminy przy współudziale WSO w Bochni i Spółdzielni Ogrodniczej z Łątki Górnej. Powodzeniem cieszy się detaliczna sprzedaż nie tylko owoców i warzyw, ale też i miodu, którego tegoroczne zbiory na terenie gminy są znaczne.

Jak nas poinformował naczelnik gminy Żegocina, Leopold Grabowski, służba rolna i komisja socjalna przy Urzędzie Gminy pełnią rolę koordynato-

ra zakupów owoców i warzyw bezpośrednio u producentów. Korzystną ofertę przedłożyły spółdzielnie ogrodnicze. Tylko 15 procent wynosi marża za owoce dostarczane za pośrednictwem tych instytucji. Szkoda jednak że nie wszyscy skorzystali z giełdy. W pierwszym dniu jej trwania podpisano tylko jedną umowę przez komisję socjalną z Urzędu Wojewódzkiego. Poza tym podpisano kilka umów z zakładami z terenu Krakowa i Śląska.

(rz)

Gazeta Krakowska z dnia 29.09.1982

skorzystali z giełdy. W pierwszym dniu jej trwania podpisano tylko jedną umowę przez komisję socjalną z Urzędu Wojewódzkiego. Poza tym podpisano kilka umów z zakładami z terenu Krakowa i Śląska. (rz)

Kalendarium spotkań autorskich

Organizator: Gminna Biblioteka Publiczna w Żegocinie

19.XI.1974 r. z Ryszardem Kłysiem – powieściopisarz i publicysta

22.XI.1974 r. z Zespołem „Wesołego Autobusu” – z okazji podsumowania konkursu na „Najlepszą wieś letniskową w Polsce”

29.VI.1975 r. z Henrykiem Foglerem

4.V.1977 r. z Julianem Kawalcem – powieściopisarz, nowelista

12.V.1978 r. z Jerzym Krasickim – prozaik, dramatopisarz

25.VIII.1978 r. z Wojciechem Kamińskim – poeta

29.VI.1979 r. z Elżbietą Zechenter-Spławińską – poetka dla dzieci i młodzieży



25.VIII.1979 r. z Andrzejem Trepką i Krzysztofem Boruniem – pisarze
21.V.1980 r. z Elżbietą Zechenter-Spławińską – poetka dla dzieci
19.V.1983 r. z Jerzym Jarnickim
13.V.1984 r. z Julianem Kawalcem – pisarz
1.VI.1984 r. z Tadeuszem Szybowskiem – artysta
25.V.1984 r. z Marią Świętoniowską – artystka teatru

Klub Twórców Ludowych w Żegocinie

Z inicjatywy Gminnego Ośrodka Kultury w dniu 20 lutego 1974 r. założony został przy GOK w Żegocinie „Klub Twórców Ludowych”. W skład klubu wchodzi:

Antoni Zbyrowski z Beldna – rzeźba w drewnie
Krystyna Zbyrowska-Nowak z Beldna – rzeźba w drewnie
Anna Łękawa z Łątki Górnej – malarstwo
Maria Pączek z Żegociny – hafciarstwo
Władysław Kępa z Żegociny – wyrób w drewnie
Józef Pączek z Żegociny – wyrób w drewnie
Antoni Durbas z Żegociny – wyrób w drewnie
Kazimierz Kozak z Żegociny – wyrób w drewnie
Stanisław Rosiek z Kamionnej – wyrób w drewnie

Członkowie klubu przygotowali wystawę swojej twórczości w świetlicy GOK w dniach 31.III-15.IV.74 r. która cieszyła się dużym powodzeniem.

Wystawy prac artystów – kalendarium

13.XI.-25.XI.1978 r. – Wystawa malarstwa Jadwigi Gajek-Sanowskiej
14.XII.-20.XII.1978 r. – Wystawa malarstwa Joanny Drobieckiej pt. „Kwiaty Joanny”
16.V.-25.V.1979 r. – Wystawa malarstwa Jadwigi Gajek-Sanowskiej pt. „Z przyrodą na Ty”
22.VI.-7.VII.1979 r. – Wystawa malarstwa Anny Łękawy – pejzaże, kwiaty, postacie świętych
27.VIII.-14.IX.1980 r. – Wystawa pt. „Rewolucje 1905-1907 na ziemiach polskich”
10.X.-20.X.1980 r. – Wystawa obrazów Józefa Pieniążka pt. „Podhale w obrazach”
19.III.-30.III.1981 r. – Wystawa prac J. Janickiego „Pejzaż w akwarelach”
13.IX.-30.IX.1981 r. – Wystawa prac malarskich St. Rajskitkiej
20.V.-10.VI.1982 r. – Wystawa prac malarskich A. Łękawy
18.X.-31.X.1982 r. – Wystawa dokumentów związanych z działalnością ruchu robotniczego pt. „100 lat Polskiego Rewolucyjnego Ruchu Robotniczego”
3.VIII.-15.VIII.1983 r. – Wystawa prac malarskich T. Sukiennika
1.III.-15.III.1984 r. – Wystawa prac malarskich A. Łękawa
18.IV.-20.IV.1984 r. – Wystawa i kiermasz pisanek ludowych
16.V.-25.V.1984 r. – Wystawa prac artystycznych Marii Pączek (hafty i koronki)
1.VII.-30.VII.1984 r. – Wystawa twórczości literackiej okresu 40-lecia PRL

Droga życiowa artysty Jakuba Juszczyka

(wspomniane na 30-tą rocznicę śmierci)



Jakub Juszczyk urodził się w rodzinie małorolnego rolnika w Żegocinie w 1897 r. Mając kilkanaście lat opuścił przed I wojną światową swą rodzinną wieś i zaczął pracować zarobkowo na swą naukę. W Bochni pracował u rzeźbiarza i tam go poznał profesor Jerzy Mycielski, dzięki któremu został przyjęty na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Prosto z pracowni prof. Laszczki, Jakub Juszczyk wraz z kolegami poszedł do Legionów by walczyć o wolność Polski. Z Żegociny i okolic poszło do Legionów kilkunastu młodych chłopców, wśród których należy wspomnieć o kapitanie Wojciechu Wronie z Bytomska, który zginął przy końcu wojny. Jakub Juszczyk swe studia ukończył również dzięki swej matce, która choć nie umiała pisać, rozumiała potrzebę kształcenia umiłowanego syna mającego od dziecka upodobania artystyczne. Po ukończeniu studiów otrzymał w 1924 r. nagrodę Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie za rzeźbę „Krzyk bojowy” przedstawiającą walkę legionistów. Do matki swej wysłał wtedy telegram następującej treści: „Mamusiu syn Twój, któremu laury dała dziś PAU składa je pod Twoje stopy”. Artysta wraz ze swym profesorem Jerzym Mycielskim wyjeżdżał za granicę, gdzie poznawał różnych artystów rzeźbiarzy i malarzy, a do matki swej pisze: „Zwiedzam cudowne dzieła sztuki i jestem tym opromieniony. Jakie obrazy i rzeźby oglądam nie możecie sobie wyobrazić. Nie macie pojęcia jak tu cudnie. Ja tutaj ciągle coś maluję. Ogromnie udoskonalili mi duszę galerie obrazów i rzeźb w Dreźnie i Monachium...”. Z wielkim bólem przeżył artysta śmierć swego opiekuna i mecenasa prof. Jerzego Mycielskiego, o którym między innymi pisał: „Otwierał mi oczy na sztukę, wodził po szerokim świecie i uczył mnie pracy i wytrwałości. Pokierował całym moim życiem i losem. Mimo ogromu pracy społecznej i narodowej, poświęcał mi dużo czasu i zajął się mną jak własnym dzieckiem...”. Od chwili utraty swego szlachetnego profesora artysta zatracił swoją wesołość i chęć do zabaw. Kocham go nie tylko za rzeźbę i malarstwo, którymi urzekał wielu ludzi, lecz również za piękną muzykę. Był on bowiem nie tylko mistrzem dłuta, lecz także muzyki na skrzypcach. Uwielbiał śpiew i muzykę i przy jej dźwiękach pragnął zakończyć swe krótkie a tak owocne życie. Na łóżu śmierci ostatnie chwile spędził zasłuchany w „Ave Maria” wygranę na skrzypcach przez sąsiadkę na jego prośbę. Tak zakończył swe szlacheckie życie! Artysta rzeźbił i malował do ostatnich dni życia. Zostawił po sobie wiele pomników, rzeźb religijnych i obrazów.

Jego wspaniałe dzieło „Leszka Białego pod Gąsawą” i wiele innych zniszczyli Niemcy w czasie okupacji. Przetrwaly „Chrystus na krzyżu” we Wrześni i Pomnik Chopina w Marcinkowie przeniesiony w 1962 r. do Żnina. Wiele jego dzieł znajduje się w muzeach w kraju i za granicą. Jakub Juszczyk miał szlachetne serce, umiejące odczuć cierpienie ludzkie o czym sam tak pisał do swej matki: „... umiem ocenić biedę każdego, odczuję to bo mam ducha artystycznego, który wyszedł z biedy. Ja sam poznałem biedę bo wojna dała mi naukę życiową. Wiem jak mam czcić ludzi biednych. Oddałem całe życie w sztukę i ubóstwiam ją...”. Podkreśla też w tym liście wartość szkoły: „... człowiek najzdolniejszy nie ma znaczenia o ile nie ma szkoły. Szkołę cenią wszyscy bo to jest podstawa do wszystkiego...”. Jakub umiał uszanować każdego bez względu na majątek i wiedzę. Będąc wykształconym artystą obracał się w różnych środowiskach, ale nigdy nie wyparł się swego chłopskiego pochodzenia. Zawsze pamiętał o Żegocinie i tu zostawił liczne pamiątki w postaci rzeźb i obrazów. W kościele żegockim ołtarz Matki Boskiej, Chrystus cierpiący, kapitele



i płaskorzeźby świętych polskich w stallach. Na cmentarzu wspaniały grobowiec rodziców przedstawiający Sąd Ostateczny uległ zniszczeniu. W 1945 r. spoczął na cmentarzu Żegociny wybitny artysta, któremu w skromnej, zapomnianej mogile z napisem „śp. Jakub Juszczyk” – składają hołd w swym poszumie lasy Żegociny jako wiernemu synowi tej drogiej artyście Ziemi.

Opracował: Czesław Blajda
(na podstawie materiałów Marii Juszczyk z Żegociny)

Doniosłe zmiany

Ustawą z 28 maja 1975 r. o dwustopniowym podziale administracyjnym Państwa oraz zmiana ustawy o radach narodowych wprowadziła z dniem 1 czerwca 1975 r. dwustopniowy podział administracyjny kraju. Zniesione zostały powiaty i utworzone dwa rodzaje jednostek: jednostki stopnia podstawowego, którymi są gminy, miasta i dzielnice w większych miastach, jednostki stopnia wojewódzkiego którymi są województwa oraz następujące miasta: miasto stołeczne Warszawa, miasto Kraków, Łódź, Wrocław. W miejsce istniejących do 31 maja 1975 r. 17 województw, utworzono 49 nowych. Rozporządzeniem z dnia 30 maja 1975 r. Rada Ministrów ustaliła, które miasta i gminy wchodziły w skład poszczególnych województw. Na podstawie tego rozporządzenia Gmina Trzcianna-Żegocina weszła wraz z 9 miastami i pozostałymi 49 gminami, w skład nowoutworzonego województwa tarnowskiego. Najważniejszym celem tej reformy było przyspieszenie procesu doskonalenia działalności aparatu państwowego we wszystkich dziedzinach, aby w pełniejszym niż dotychczas zakresie nastąpiła realizacja zadań Państwa.

Kierownictwo polityczno-administracyjne nowopowstałego województwa tarnowskiego:

Tow. Stanisław Gębala – I Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR

Ob. Tadeusz Maj – Prezes Wojewódzkiego Komitetu ZSL

Ob. Stanisław Opałko – Przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu FJN, Prezes Zarządu Wojewódzkiego SD Ob. Jan Sokołowski – Wojewoda Tarnowski

Nowopowstałe województwo Tarnów liczy 585 tys. ludności, 4152 km² powierzchni, na km² przypada 141 osób. Województwo ma charakter przemysłowo-rolniczy. W miastach mieszka 183 tys. osób (32%). Z pracy poza rolnictwem utrzymuje się 58% ogółu ludności, w tym 45% na wsi.

Najlepsi w kraju

W konkursie p.n. „Jabłońscy zapraszają Matysiaków” ogłoszonym przez Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki planowanym przez Redakcję „Zielonego Sztandaru” w r. 1975 wieś Żegocina zajmuje 1 miejsce w kraju, jako najlepiej przygotowana miejscowość do przyjęcia turystów i wczasowiczów. Walory turystyczne Żegociny obrazuje artykuł mgr Czesława Blajdy (patrz obok).





Z posiedzenia podsumowującego Konkurs n/z trzeci z prawej V-ce Wojewoda Fr. Rachwał

W dniu 24.XI.1975 r. w Żegocinie odbyła się uroczystość podsumowania konkursu z udziałem: Wicewojewody Tarnowskiego – mgr Franciszka Rachwała, Dyrektora Departamentu Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki – mgr Kazimierza Pielezka, Redakcji „Zielonego Sztandaru” i „Chłopskiej Drogi” oraz kierownictwa politycznego gminy Żegocina z I Sekretarzem KG PZPR - Tow. Kazimierzem Wroną, działaczami turystyki, oświaty i kultury oraz społeczeństwo Gminy Żegocina.

Uroczystość zakończył występ „Wesołego Autobusu”. Ponadto przyznano przez GKKFiT dla Żegociny nagrodę w wysokości 500 tys. zł. Kwotę tę przeznaczono na rozwój turystyki w Żegocinie.

Walory turystyczne Żegociny i okolic

Krajobraz gminy Żegociny jest bardzo urozmaicony i posiada możliwości rozwoju ruchu turystycznego. Północno-zachodnią część zajmują pasma Pogórza Wielickiego, przecinane dolinami potoków spływających do Stradomki. Natomiast południowa część obejmująca Rozdziele a częściowo Żegocinę, Bełdno i Kamionną należy do Beskidu Wyspowego. Bogactwo lasów i widoki krajobrazowe z przełęczy, wierzchowin oraz szczytów górskich uzupełniają atrakcyjność krajobrazową 12 wsi gminy Żegocina. Malownicze położenie samej Żegociny w kotlinie otoczonej lesistymi pasmami góorskimi Kamionnej – Jeziernika (805 m),





Zespół "Wesołego Autobusu" w pełnej krasie.

Łopusza (661 m) i Żarnówki (457 m) i w dolinie potoku Sanka oraz łagodny mikroklimat zbliżony do krynickiego – stwarzają naturalne warunki atrakcyjności turystycznej. Walory stworzone przez naturę zostały uzupełnione przez historię i współczesną działalność ludzi rozumiejących wartość i znaczenie turystyki. Suma walorów turystycznych i walorów recepcji zadecydowały o atrakcyjności turystycznej Żegociny. Walory recepcyjne były początkowo oparte na kwaterach prywatnych przeznaczonych dla letników. Tradycje letniskowe wsi Żegocina sięgają okresu międzywojennego, kiedy to z inicjatywy działaczy kulturalno-oświatowych postanowiono wykorzystać walory krajobrazowe i warunki klimatyczne wsi zachęcając do jej odwiedzania. Właściciele Austrii, pól i lasów pochodzenia żydowskiego wybudowali piętrowy dom letniskowy, do którego w okresie letnim przyjeżdżały ich rodziny i krewni nie tylko z Polski ale i z innych krajów. Poprawa warunków higieniczno-sanitarnych i stanu dróg wzmogły ruch letniskowy i doprowadziły do uruchomienia sezonowego połączenia autobusowego z Krakowem w latach 1935-39 co spowodowało jeszcze większy napływ letników. Wspólnym wysiłkiem zbudowano basen kąpielowy, uruchomiono piekarnię i otwarto kilka nowych sklepów. Po wojnie zwiększył się ruch letniskowy, zwłaszcza po zelektryfikowaniu Żegociny w 1950 r. oraz uruchomieniu baru restauracyjnego przez Gminną Spółdzielnię. Dzięki inicjatywie Prezesa GS Franciszka Waligóry zbudowano restaurację i hotel na 30 miejsc oraz otwarto kilka sklepów, piekarnię i masarnię. W r. 1962 z inicjatywy Czesława Blajdy wizytatora Kuratorium Okręgu Szkolnego i sekretarza Oddziału Woj. Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych przy poparciu Prezesa GS Franciszka Waligóry uruchomiono Ośrodek Campingowy PTSM złożony z 10-ciu domków czteroosobowych. Wielkim



wydarzeniem propagandowym dla Żegociny i okolicy był IV Wojewódzki Zlot Szkolnych Kół Krajoznawczo-Turystycznych zorganizowany przez Szkolny Wojewódzki Ośrodek Krajoznawczo-Turystyczny przy Kuratorium Okręgu Szkolnego i Oddział Wojewódzki Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych w Krakowie. A w Zlocie wzięło udział około 1200 młodzieży z woj. krakowskiego a również delegacje młodzieży z innych województw Polski.



Basen kąpielowy w Żegocinie

Zlot zaszczylił swą obecnością przedstawiciele władz politycznych, administracyjnych i oświatowych z przedstawicielem Ministerstwa Oświaty oraz zebrana ludność miejscowa. Bardzo ciepło zostały przyjęte przemówienia organizatorów i przedstawicieli władz oraz żywiłowe występy zespołów artystycznych z Podhala i Nowego Sącza. W 1963 r. Szk. Woj. Ośrodek Krajoznawczo-Turystyczny i Oddział Woj. PTSM w Krakowie zagospodarowały trasę turystyczną dla szkolnych obozów wędrownych od Bochni do Nowego Sącza i do Zakopanego. Na tej trasie uruchomiono obok Ośrodka Campingowego w Żegocinie, sezonowe schronisko młodzieżowe w budynku szkolnym w Rozdzielu na 44 miejsc. Trasę zapropagowano i opisano jej przebieg w czasopiśmie „Poznaj swój kraj” nr 6/7 z 1963 r. Obok opisu trasy opublikowano też artykuł pt. „Na szczycie Jeziernika” propagujący walory turystyczne Żegociny i okolic. Z inicjatywy Oddziału PTSM w Krakowie powołano w Żegocinie pierwsze wiejskie Koło PTSM które przyjęło nazwę „Koła Miłośników Żegociny”.

W r. 1965 z okazji wycieczki uczestników XXV konferencji Międzynarodowej Federacji Schronisk Młodzieżowych gościli w Żegocinie GS i Koło PTSM na kolacji i imprezie Zespołu Pieśni i Tańca z Wierchosławic, przedstawiciele z około 50 krajów świata. Po zwiedzeniu Ośrodka PTSM w czasie spotkania uczestników z władzami, działaczami i ludnością Żegociny, Prezes Międzynarodowej Federacji podkreślił walory turystyczne Żegociny i osiągnięcia w zakresie rozwoju ruchu turystycznego. W latach 1963-64 Krakowskie Przedsiębiorstwo Obsługi Ruchu Turystycznego „Wawel-Tourist” zbudował duży Ośrodek Campingowy obok Ośrodka PTSM na około 100 miejsc noclegowych. Ośrodek ten w późniejszych



latach przejęła Gminna Spółdzielnia uzupełniając bazę hotelową. PTTK Oddział Bochnia uruchamia w Żegocinie Dom Wycieczkowy na 60 miejsc. Jedną ze Spółdzielni Pracy w Krakowie buduje Ośrodek Campingowy na letnisko i wypoczynek sobotnio-niedzielny rodzin swoich pracowników. Rośnie również baza kwater prywatnych osiągając do 1972 r. około 250 miejsc. W Żegocinie, Trzcinie, Kierlikówce w budynkach szkolnych organizuje się kolonie letnie dla młodzieży szkolnej, zaś w Łącku Górnej i Kamionnej oraz Żegocinie obozy harcerskie. W latach 1965-72 stale rośnie ruch turystyczny i często brak pomieszczeń na noclegi. Rozwój turystyczny Żegociny obok walorów środowiska naturalnego uwzględnia również bogactwo dóbr kultury i historii. Do nich należą: kościół w Żegocinie z zabytkową amboną, stacjami Męki Pańskiej i rzeźbami artysty pochodzącego z Żegociny Jakuba Juszczyka, zabytkowy kościół w Trzcinie i drewniany kościół w Kamionnej z rzeźbami i organami wykonanymi przez samouka ludowego, liczne kapliczki i figury, pałac dworski w Łącku Górnej z zabytkową kapliczką, kolumna w Kamionnej upamiętniająca wojny szwedzkie, cmentarze z I wojny. Do osiągnięć i dóbr współczesnych należą: Przetwórnia Owoców i zamrażalnia w Łącku Górnej, budownictwo handlowe GS, basen kąpielowy oraz wiele obiektów gospodarstw specjalistycznych.

Dobre są walory recepcyjne Żegociny w oparciu:

- o dostępność komunikacyjną i połączenia autobusowe z Bochnią, Krakowem, Limanową i Tarnowem,
- o zagospodarowanie turystyczne w postaci:
 - a) Bazy noclegowej (hotel, domki campingowe, Dom Wycieczkowy PTTK, kwatery



Schronisko młodzieżowe w Rozdzielu





Ośrodek Campingowy w Żegocinie

prywatne)

b) Bazy żywieniowej (restauracja GS, sklepy i kioski, kawiarnia, piekarnia i stołówki prywatne)

c) Bazy towarzyszącej (wyciąg narciarski, basen kąpielowy, punkty informacji turystycznej, świetlica, biblioteka, kino, pawilon letni, apteka, GOK, poczta)

W oparciu o walory środowiska naturalnego i walory turystyczne oraz działalność aktywu stworzono korzystne warunki rozwoju turystyki wypoczynkowo - krajoznawczej w Żegocinie.

Wykazy Kolegium ds. Wykroczeń

W związku z dokonaną reformą władz terenowych i zmianami w podziale administracyjnym Państwa, w celu podniesienia dyscypliny na terenie gminy, szybkiego reagowania na wykroczenia podjęto uchwałę Nr VII/20/75 Gminnej Rady Narodowej o powołaniu Kolegium ds. Wykroczeń przy Naczelniku Gminy w Żegocinie. Przewodniczącym Kolegium ds. Wykroczeń wybrany został – Ob. Jan Kępa – Sekretarz Urzędu Gminy, Zastępcą – Ob. Jacek Kołodziej – dyr. Zamrażalni i Przetw. Owocowo-Warzywnej w Łąckiej Górnej.

Członkowie: Jerzy Błoniarczyk – prac. umysłowy z Łątki Dolnej, Helena Budzyn – prac. umysłowy z Łątki Górnej, Stanisław Grabowski – rolnik z Łątki Górnej, Jan Mazur – robotnik z Łątki Górnej, Józef Janiczek – rolnik z Żegociny, Zofia Klimaj – prac. umysłowy z Żegociny, Zofia Kowalska – rolnik z Bytomska, Jan Łukasik – rolnik z Kierlikówki, Augustyn Mucha – rolnik z Kamionnej, Karolina Orzeł – rolnik z Rozdziela, Halina Orzeł – rolnik z Rozdziela, Stefan Stokłosa – rolnik z Trzciany, Leokadia Słupik – prac. umysłowy z Trzciany.



Akcja studencka dla rozwoju Żegociny

Wiele osiągnięto w Żegocinie w okresie XXV-lecia Polski Ludowej, dzięki zaangażowaniu i działalności aktywnego społeczno-gospodarczego. Nie wszystkie jednak plany i prace dają się rozwiązać we własnym zakresie zaangażowaniem i czynami społecznymi. Zrozumiały to władze Gminy z naczelnikiem L. Grabowskim na czele i w 1974 r. zawarto z Politechniką Krakowską, a następnie z innymi wyższymi uczelniami Krakowa, umowę w sprawie opracowania dalszego rozwoju gminy Żegociny. Z pomocą przyszli studenci krakowskich uczelni, którzy w ramach praktyk wakacyjnych dokonali różnorodnych badań terenu. W r. 1976 w ramach ogólnopolskiego programu studenckiego pt. „Gmina terenem racjonalnego kształtowania środowiska człowieka”, zorganizowano na terenie gminy Żegocina obóz naukowy Kół Zrzeszenia Studentów Polskich wyższych uczelni Krakowa (PK, AGH, UJ, AE). Prace naukowe objęły rejestrację i informacje z różnych dziedzin nauki:

- badania środowiska geograficznego,
- opracowano podkłady wysokościowe,
- opracowano szczegółowo plan i zasady ochrony środowiska naturalnego,
- w ramach badań geologicznych odkryto źródła mineralne, których wody są bardzo zbliżone do Krynickiego Zubera,
- zbadano stan aktualny budownictwa ludowego i przeprowadzono opis wraz z inwentaryzacją dawnych starych obiektów w 12 wsiach gminy,
- przeprowadzono inwentaryzację obiektów zabytkowych,
- opracowano chłonność turystyczną Żegociny i terenu gminy na podstawie danych statystycznych oraz wypełnionych ankiet,
- opracowano założenia i program skansenu etnograficzno-turystyczno-usługowego.

Sekcja etnograficzna włączona do grupy architektury Politechniki Krakowskiej przeprowadziła szczegółowe badania w oparciu o kwestionariusz dotyczący badań architektury ludowej. Wykonano szereg planów, opisów, zdjęć fotograficznych i wywiadów. W jednym ze starych domów Żegociny przeprowadzono dla Urzędu Gminnego wiele map, wykresów, planów, zdjęć fotograficznych i opracowań projektowo-programowych ważnych dla rozwoju gminy i przekształcenia Żegociny w miejscowość turystyczno - wypoczynkową. Planowany skansen ma mieć charakter ośrodka rekreacyjno - turystycznego, obok części muzealnej i pracowni artystów ludowych. W okresie badań ciekawe były spotkania studentów z władzami miejscowymi i wojewódzkimi oraz centralnymi w osobie Sekretarza KC PZPR Tow. A. Werblana, artystami ludowymi oraz działaczami i ludnością miejscową.

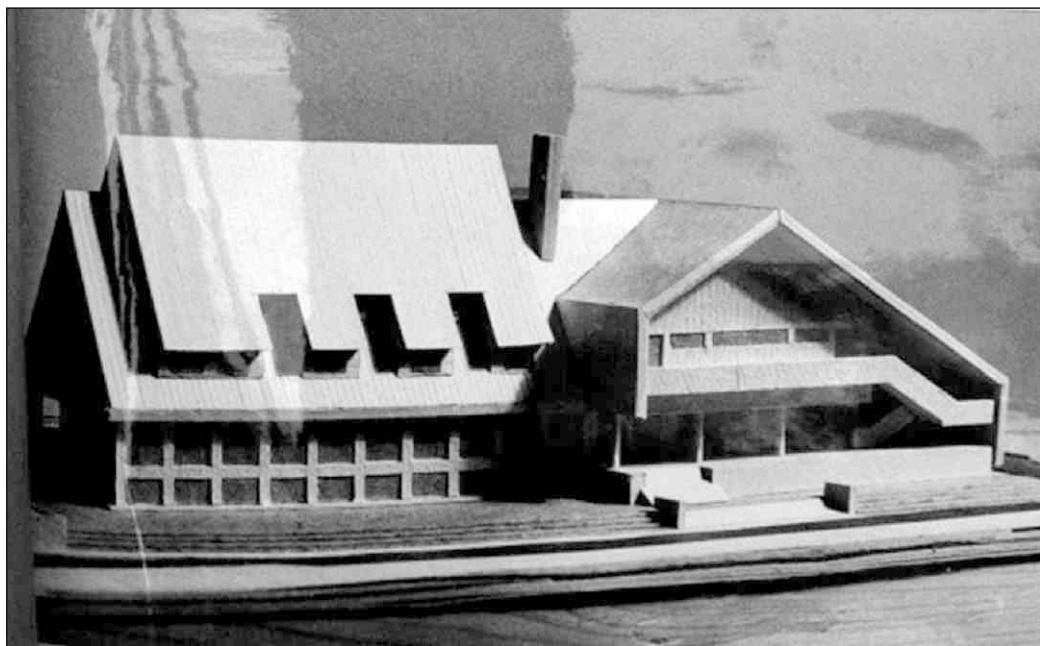
Studenci byli bardzo zadowoleni i wysoko oceniali zarówno troskę i zaangażowanie Naczelnika Gminy, jak również życzliwość miejscowej ludności. Zadowoleni byli z noclegów i wyżywienia, a imprezy przez nich organizowane cieszyły się wielką frekwencją i uznaniem ludności. Zdaniem Naczelnika Gminy prace wykonane przez studentów i dalsza współpraca z wyższymi uczelniami Krakowa staną się punktem wyjścia dla należytego zagospodarowania





Władze uczelni Politechniki Krakowskiej przy stole obrad, temat pracy studenckiej przedstawia doc. dr hab. S. Wieczysty z PK

turystycznego Żegociny. Władze Gminy zdają sobie bowiem sprawę z korzyści płynących z ruchu turystycznego, które będą owocować nie tylko w aspektach ekonomicznych lecz wpłyną również na poziom higieniczno-estetyczny wsi oraz



Zdjęcie makiety Domu kultury w Żegocinie



kulturalny jej mieszkańców. Przyszłość Żegociny - to stworzenie odpowiednio zagospodarowanego ośrodka turystyki wypoczynkowo-krajoznawczej i wykorzystanie walorów turystycznych nie tylko w skali regionalnej, lecz również krajowej.

Studenckie projekty:

Tak będzie wyglądał Dom Kultury w Żegocinie. Zdjęcie makiety obiektu opracowanego pod kierownictwem prof. inż. arch. Z. Kupca z Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej.

Gminna Szkoła Zbiorcza

Rok szkolny 1976/77

Na bazie Szkoły Zbiorczej zostaje powołana Gminna Szkoła Zbiorcza w Żegocinie. Zostaje obniżony stopień organizacyjny do klas I-IV w szkołach: Łąka Dolna, Łąka Górna, Kamionna i Leszczyna. Uczniowie klas V-VIII ze szkół Łąka Dolna, Górna i Kamionna uczęszczają do szkoły Gminnej w Żegocinie a z Leszczyny do szkoły podstawowej w Trzcianie. Tak więc w tym roku w Gminnej Szkole Zbiorczej naukę zaczęło pobierać 420 uczniów. Szkoły: Łąka Dolna, Łąka Górna, Kamionna zostały punktami filialnymi Gminnej Szkoły Zbiorczej podobnie jak Beldno i Bytomsko. Struktura szkolnictwa w Gminie:

Gminna Szkoła Zbiorcza – dyr. Widła Franciszek

Punkty filialne Gminnej Szkoły Zbiorczej:

Punkt filialny Beldno – kierownik P.F. – Ob. Krawczyk Rozalia

Punkt filialny Bytomsko – Ob. Lis Anna

Punkt filialny Kamionna – Ob. Usarz Stanisław

Punkt filialny Łąka Dolna – Ob. Liszka Jan

Punkt filialny Łąka Górna – Ob. Budzyn Stanisław

Zbiorcza Szkoła Podstawowa w Trzcianie – Ob. Korta Józef

Punkt filialny Leszczyna – Ob. Chojcka Irena

Zbiorcza Szkoła Podstawowa w Kierlikówce – Ob. Lis Tadeusz

Punkt filialny Rdzawa – Ob. Możdzech Irena

Szkoła Podstawowa w Rozdzielu – Ob. Lis Bronisław

Państwowe Przedszkole w Trzcianie – Ob. Ujejska Leokadia

Państwowe Przedszkole w Żegocinie – Ob. Klimaj Zofia

Dyrekcja i Nauczyciele Gminnej Szkoły Zbiorczej:

Gminny Dyrektor Szkół – Ob. Widła Franciszek

Z-ca Dyrektora ds. wychowawczych – Ob. Lis Andrzej

Z-ca Dyrektora ds. pedagogicznych – Ob. Wrona Jan

Z-ca Dyrektora ds. pedagogicznych – Ob. Apryjas Marian

Komendant Hufca ZHP – Ob. Gąsiorek Stanisława

Sam. referent ds. kadrowych i socjalnych – Ob. Łach Stanisława

Nauczyciele: Adamski Jan, Chojnacka Maria, Dudziak Elżbieta, Dziedzic Maria, Ellnain Aleksandra, Guzik Genowefa, Jarosz Zofia, Michalska Krystyna, Kurzeja Jan, Kurzeja Stanisława, Przeniosło Zofia, Satoła Romana, Skórnoń Krystyna, Trojan





Gminna Szkoła Zbiorcza w Żegocinie, w 1978 r. rusza dziesięć latka

Elżbieta, Wrona Aleksandra, Wrona Anna, Apryjas Maria, Maurer Stanisław. Nauczyciele 5 punktów filialnych: Krawczyk Rozalia, Liszka Jan, Liszka Rozalia, Kukla Józefa, Budzyn Stanisław, Mazur Mieczysława, Dziedzic Józefa, Usarz Stanisław, Usarz Stanisława. Łącznie 29 nauczycieli.

Młodzież uczyła się w 11 oddziałach w tym był 1 oddział klasy uzawodowionej i 1 oddział klasy specjalnej. W dniu 23 sierpnia 1976 r. odbyło się otwarcie nowego roku szkolnego połączone z oddaniem nowego budynku szkoły. Obiekt szkolny powstał z inicjatywy Kierownictwa Gminy Żegocina kosztem 18,5 mln zł. Wykonawcą był Zakład Gospodarki Komunalnej w Żegocinie na którego czele stał kierownik Julian Prytko. W nowym obiekcie znajduje się: 20 sal lekcyjnych oraz sala gimnastyczna o wymiarach 33x16x9, 5 klasopracowni, kuchnia, stołówka na 120 miejsc. W drugim etapie przewiduje się budowę boisk sportowych, miasteczka ruchu drogowego oraz basenu kąpielowego. W uroczystości przekazania szkoły do użytku wzięli udział: społeczeństwo Gminy, przedstawiciel KW PZPR, KW, Władze Gminy oraz budowniczowie obiektów. W dniu 14 września 1976 r. Załoga Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego z Tarnowa, przekazuje szkole autobus do przewozu dzieci, w zamian za korzystanie z obiektu szkolnego na kolonie i zimowiska. Gminna Szkoła Zbiorcza w Żegocinie jako pierwsza posiada autobus do dowożenia dzieci. W tym też roku objęto wychowaniem przedszkolnym wszystkie dzieci 6-letnie w ogniskach przedszkolnych bądź oddziałach.

C.D.N.



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA



Z. JANICZEK



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCIŃSKA

Zapewne nigdy nie ustalimy precyzyjnie w jakim okresie człowiek zainteresował się produktami pszczelimi.

Odkrycie rysunku z "**Pajęczej Groty**" niedaleko BICORPU w Hiszpani, które pochodzi z okresu 7-15 tys. lat p.n.e. wskazuje, że już w tym czasie miód był pozyskiwany przez człowieka.



Rys. Polowanie na Pszczoły

STR.1



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA

Zbieractwo, czyli polowanie na pszczoły, zostało zastąpione już ponad 500 lat p.n.e, przez BARTNICTWO, czyli chów pszczół.



Praca wymagała ogromnej cierpliwości i delikatności, doświadczenia, toteż bartników otaczano powszechnym szacunkiem i podziwem.

STR.2



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCIŃSKA

Pszczoły uznawano nawet za owady święte,
znajdujące się pod szczególną opieką niebios.

Pszczelarstwo na ziemi Żegocińskiej przywędrowało
na pewno z pierwszymi osadnikami na tej ziemi.
Ziemia ta obfituje do dzisiaj w bogatą szatę roślinną,
stwarzającą duże możliwości pozyskiwania miodów
najwyższej jakości.

Do zasobów pożytkowych na tym terenie możemy zaliczyć drzewa takie jak:

1. Jodła Pospolita- dostarcza pszczołą dużo spadzi
2. Robinia Akacjowa (Akacja)- należy do najbardziej
miododajnych drzew w Polsce.
Kwitnienie w III dekadzie maja trwa ok. 10 dni.
3. Lipa- od najdawniejszych czasów zaliczana
do najlepszych roślin pszczelarskich
i ulubionych drzew przydomowych.
4. Wierzba
5. Klon
6. Śliwa Domowa
7. Krzewy- Głóg, Ligustr, Malina, Porzeczka
8. Rośliny – Facelia, Gryka, Koniczyna,
Lucerna, Melisa, Nawłóć

STR.3



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA

Przez całe wieki człowiek zgłębiał fenomen życia rodziny pszczelej, znamy genialnych odkrywców, którzy w sposób rewolucyjny przedstawiali swoje odkrycia.

Wśród nich był **Huber Francois**, Szwajcar pochodzenia Francuskiego, żyjące w Latach 1750-1832.

Poniżej jego odkrycia, które szczegółowo opisał:



Huber Francis

1750-1832

Szwajcar poch. Francuskiego

Opisał:

- Lot godowy matki i jej powrót do ula z wyraźnymi śladami kopulacji (1787)
- Próbował bezskutecznie sztucznie unasiennić matkę za pomocą końskiego włosa zwilżonego nasieniem trutnia (1791)
- Ogłosił, że robotnice są osobnikami rodzaju żeńskiego i mogą składać jajeczka, z których wylęgają się wyłącznie trutnie
- Że jajeczka składane przez matkę zostają zaplemnione w jej narządach płciowych.
- Że unasiennienie Matek następuje w powietrzu oraz, że niaunasienniona matka składa wyłącznie jajeczka trutowe.
- Opisał także gruczoły woskowe i proces budowy plastrów

STR.4



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA

- Mażliwość wymiany Matek
- Tworzenie rojów (1792)
- Udowodnił, że pszczoły produkują воск, jedząc nektar, miód, nie zaś pyłek (1793)
- Zbudował ul książkowy

**Tych ważnych odkryć dokonał człowiek ocmniały,
pracujący przy pomocy swego sługi Charlesa Bonneta.**

Odkrycie procesu Fotosyntezy pozwala zrozumieć
jak genialnie urządzony jest świat i jakie zachodzą
w nim procesy z których czerpie człowiek
równie poprzez współpracę z pszczołami.

Zachwianie tych procesów grozi nie tylko pszczołom
ale także ludziom.
Oby nigdy nie doszło do takiej destrukcji.

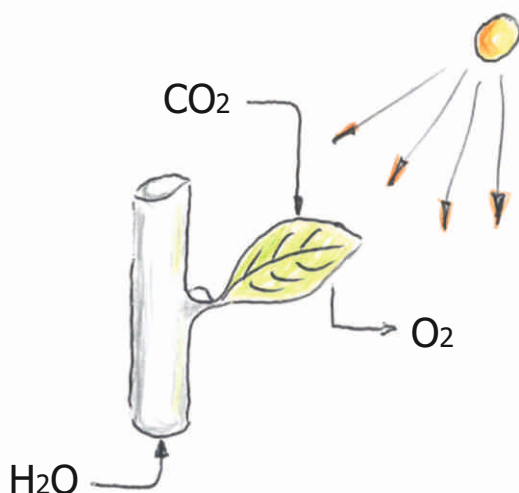
STR.5



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCIŃSKA

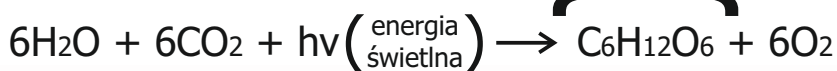
FOTOSYNTeza

Biochemiczny proces wytwarzania związków organicznych z materii nieorganicznej, zachodzący w komórkach zawierających chlorofil lub bakteriochlorofil, przy udziale światła.



Dla wszystkich organizmów żywych są podstawowym źródłem energii koniecznej do podtrzymania procesów życiowych

↑
SPADŹ
↑
NEKTAR
↑
WĘGLOWODANY



W procesie tym prosty cukier - glukoza, syntetyzowany jest z wody i dwutlenku węgla, dzięki energii słonecznej. Dodatkowo wydziela się tlen!

STR.6



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA

Pszczelarze powierzają swoje troski
i radości swojemu patronowi Św. Ambrożemu.
W opisie żywotu świętych, możemy zapoznać się
z życiem tego świętego człowieka.



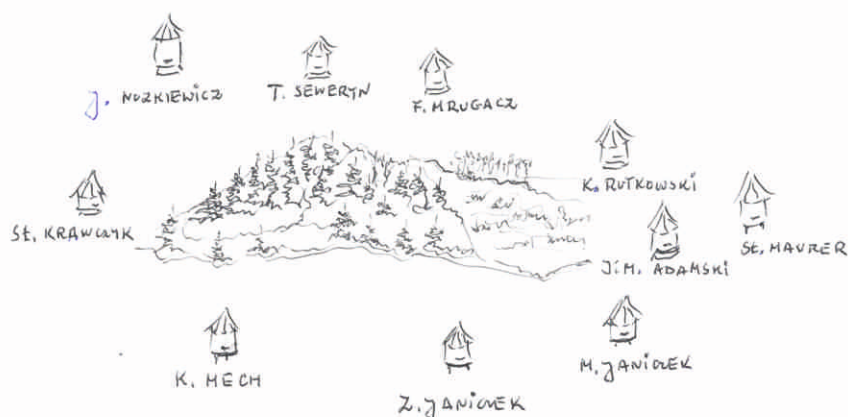
Artysta rzeźbiarz St. Gromala z kaminicy
rzeźbi figurki patrona dla pszczelarzy.

STR.7



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCIŃSKA

W Lipcu 2010 r. odnotowano wokół wżesienia
Żarnówka 10-ciu aktywnych pszczelarzy.



W samej Żegocinie i ziemi Żegocińskiej
jest znacznie więcej pszczelarzy.

Większość z nich należy do pogórskiego
związku pszczelarzy w Tarnowie – koło w Żegocinie.

STR.8



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCIŃSKA

W tym 1-szym opracowaniu podaję ogólne informacje
licząc na to, że temat ten będzie kontynuowany
w następnych artykułach.

Proszę również o dostarczenie ciekawostek (w tym fotografii)
do pszczelarzy bądź ich rodzin tak,
by można wspólnie redagować następne pszczelarskie
ciekawostki.

A oto kilka z nich:

1. Podczas lotu pszczoła wykonuje 350-435 ruchów skrzydłami na sekundę. 30-60 km/h.
2. Przeciętny zasięg lotu pszczół wynosi 3 km. Max do 10 km.
3. Pszczoły muszą odwiedzić około 4 milionów kwiatów, aby zebrać nektar na 1 kg miodu.
4. Podczas jednego „kursu” po nektar pszczoła odwiedza 50-100 kwiatów.
5. Pszczoły wytwarzają miód w ten sam sposób od 150 milionów lat.
6. Miód to:
 - a. 80% naturalnych cukrów (glukoza, fruktoza)
 - b. 18% wody
 - c. 2% składników mineralnych:
 - Witaminy
 - Proteiny
 - Pyłek

STR.9



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA

7. W bardzo silnych rodzinach jest 70-80 tys pszczoł

*W przeciętnej rodzinie jesienią jest 20-25 tys. Pszczoł



8. Wiosenne i letnie pszczoły żyją średnio 36-40 dni

9. Jesienne mogą żyć 6-9 miesięcy

10. Matka 3-5 lat

11. Trutnie ok. 3 miesiące

Efektom ciężkiej i bardzo dobrze zorganizowanej pracy rodziny pszczelej jest miód określany często jako niezwykle produkt z Bożej apteki.



STR.10



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA

- 10 000 pszczoł waży 1 kg i stanowi objętość 1 litra
- Rodzina pszczela na własne potrzeby zużywa średnio
 - * 80-120 kg miodu
 - * 25-40 kg pyłku
 - * 50-60 litrów wody
- 1 litr miodu waży od 1,38 do 1,45 kg co oznacza, że jest cięższy od wody o ok. 40%
- Jedyne w Polsce pomnik pszczoły znajduje się w Kielcach.

A może Żegocina zasługuje na to by w centrum powstał ciekawy, nawet niewielki znak, mówiący o prowadzonej tutaj działalności, dając satysfakcję pszczelarzom pracujących tutaj od wieków.

Żegociński miód jest niewątpliwie najznakomitszym produktem lokalnym.

STR.11



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA

Poniżej kilka fotografii pasiek z naszej ziemi żegocińskiej:



2005 r.

Pasieka
P. Durbasa
Rozdziele-Kamionka



2005 r.

Pasieka
Z. Janiczka
Żegocina



2005 r.

Pasieka
St. Maurera
Żegocina

STR.12



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCIŃSKA



2005 r.

Pasieka
Bronisława Kuski
Żegocina



2005 r.

Pasieka
J. Pławeckiego
Rozdziele



2005 r.

Pasieka
St. Gołębia
Żegocina

STR.13



SŁYNĄCA ZE WSPANIAŁYCH MIODÓW ZIEMIA ŻEGOCINSKA



2005 r.

Pasieka
M. Janiczka
Żegocina



STR.14



Cmentarze I wojny światowej okolic Żegociny



dlaczego przypominamy cmentarze i dlaczego pierwszej wojny światowej, skoro żywa jeszcze jest pamięć po tej drugiej? Być może właśnie to skazanie na zapomnienie wywołuje odruch zainteresowania, tym bardziej, że tu, pod Limanową i Gorlicami, w pewnym okresie ważyły się losy I wojny światowej, Europy i Polski. Nasze pola skropione są krwią żołnierzy, także polskich, którzy tu oddali życie dla Ojczyzny.

Myślimy, że o tym trzeba pamiętać nie tylko w kolejne rocznice wybuchu tej strasznej wojny, ale zawsze. Poległym żołnierzom winni jesteśmy zainteresowanie i pamięć. Niech więc to skromne opracowanie będzie formą takiego hołdu złożonego poległym na wszystkich frontach I wojny światowej.

Przyświeca nam też inny, ważny cel. Jak łatwo zauważyć tematyka cmentarzy I wojny światowej wypadła ze świadomości mieszkańców okolic, w których zlokalizowano żołnierskie mogiły. Gorszym od zapomnienia była, na szczęście już zanikająca, niechęć, wyrażająca się w różnych negatywnych zachowaniach: dewastacji, kradzieży elementów metalowych i kamiennych. Cmentarze zanikały w krajobrazie. Ale ze względu na funkcję i symbolikę, a także walory krajobrazowe i historyczne, zasługują, na inny los. Wciąż, mimo zniszczeń, zachwycają wzajemnym przenikaniem architektury i przyrody. Zaś ze względu na czas powstania i jednolitą koncepcję architektoniczną tworzą jeden z najciekawszych zespołów wojskowego budownictwa sepulkralnego w Europie.

O ile niniejszy tekst chociaż w drobnym stopniu przyczyni się do wzrostu społecznego zainteresowania i poprawi sytuację tych wspaniałych obiektów, będziemy to traktować jako osiągnięcie sukcesu idei nam przyświecającej.

Wstęp

Walki toczone na tym terenie w grudniu 1914 r. w ramach operacji łapanowsko-limanowskiej zakończone sukcesem wojsk austriacko-pruskich przyniosły tysiące ofiar. Poległych żołnierzy chowali na polu bitwy bądź ich koledzy, bądź wrogowie, a pochówek dobywający się w pobliżu linii bojowych nie miał trwałego charakteru. Dopiero przesunięcie się terenu walk na wschód umożliwiło budowę cmentarzy. Prowadził ją Oddział Grobów Wojennych przy dowództwie Okręgu Wojskowego „Galicja Zachodnia”. W latach 1915–1918 w samym tylko IX Okręgu (Bochnia) zbudowano 40 cmentarzy. Budowę kierował tu wiedeński architekt por. Franz Stark. Tutejsze cmentarze zawierają charakterystyczne dla projektów Starka elementy: reprezentacyjne wejście z bramą lub furtką, często flankowaną słupami lub pylonami, element centralny w postaci dużego





Szkic pomnika centralnego na cmentarzu 302 w Żegocinie. „Pobojowisko przedstawiało okropny obraz, pola pokryte zabitymi Prusakami, Rosjanami, Austriakami. Obok mnóstwo broni, materiałów zrabowanych przez Rosjan i ukrytych w okopach. Wojska nie mogąc poradzić sobie z chowaniem zabitych zmusiły do tego chłopów pod dowództwem wójta Szymona Piecha.”

drewnianego lub kamiennego krzyża, czasem nawet bogate w wystroju kaplice lub stylizowane sarkofagi, dostosowane do kształtu terenu drewniane lub kamienne ogrodzenie, centralną aleję. Na grobach postawiono krzyże, na ogół żelwne, żelazne, rzadziej betonowe lub stalle z żeliwnymi tablicami inskrypcyjnymi. Kształt krzyża lub stalli dostosowano do wyznania poległych żołnierzy. W terenie dojście do cmentarzy wskazywać miały charakterystyczne słupy betonowe z tabliczką o dwujęzycznym napisie „Kriegersfriedhof Cmentarz Wojskowy No Zugang - Droga”, zwieńczone małym, żelaznym krzyżem maltańskim.

Operacja łapanowsko-limanowska

W połowie listopada 1914 r. akcje monarchii Habsburgów stały tak nisko, jak nigdy dotąd. Wielka ofensywa w pełni już zmobilizowanej armii rosyjskiej, zwana w ówczesnej alianckiej propagandzie "rosyjskim walcem parowym", zepchnęła Austriaków na zachodnie krańce Galicji. 13 dywizji rosyjskich 9 Armii gen. Leczyckiego parło na północ od Krakowa w stronę Śląska, grożąc oddzieleniem frontu austriackiego od sprzymierzonej armii niemieckiej i wtargnięciem przez Bramę Morawską do Czech. Na południe od Wisły 3 Armia gen. Radko-Dmitriewa, Bułgara w służbie rosyjskiej, przed miesiącem niedoszłego zdobywcy Przemyśla, zajęła Tarnów i czołowymi oddziałami zbliżała się do umocnień twierdzy krakowskiej. W Karpatach Wschodnich Rosjanie bliscy byli wyjścia na Równinę



Węgierską, co dla ich przeciwnika oznaczałoby zapewne cios śmiertelny. Pułki kozackie przez przełęcz Łupkowską i Dukielską przenikały na południe od głównego grzbietu gór, przejściowo zajmując Humienne, Stropków i Bardiów. Na całym froncie galicyjskim ponad milionowi żołnierzy cara Mikołaja II przeciwstawiało się zaledwie około 650 tys. poddanych Franciszka Józefa. Mimo pewnych sukcesów odnoszonych równocześnie przez niemieckich sprzymierzeńców pod Łodzią i Włocławkiem, wydawało się, że losy państwa austro-węgierskiego są przesądzone.

W tej dramatycznej sytuacji naczelne dowództwo austro-węgierskie, które 9 listopada przeniosło swą siedzibę z Nowego Sącza do Cieszyna, ogołociło niemal zupełnie front pomiędzy Wisłą a Karpatami i uzyskując lokalną przewagę liczebną, rozpoczęło kontrnatarcie na północnych przedpolach Krakowa. W ciężkich walkach, trwających od 16 do 25 listopada, zaatakowana ze skrzydła 9 Armia rosyjska nie została co prawda rozbita, ale powstrzymano jej ruch na zachód. Groźba utraty śląskiego okręgu przemysłowego była na razie oddalona. Tymczasem jednak inne jednostki rosyjskie zepchnęły pozostawiony pod Bochnią słaby, dwudywizyjny zaledwie korpus gen. Lubiczicza. Do końca listopada ich czołowe oddziały osiągnęły linię Wieliczka - Dobczyce.

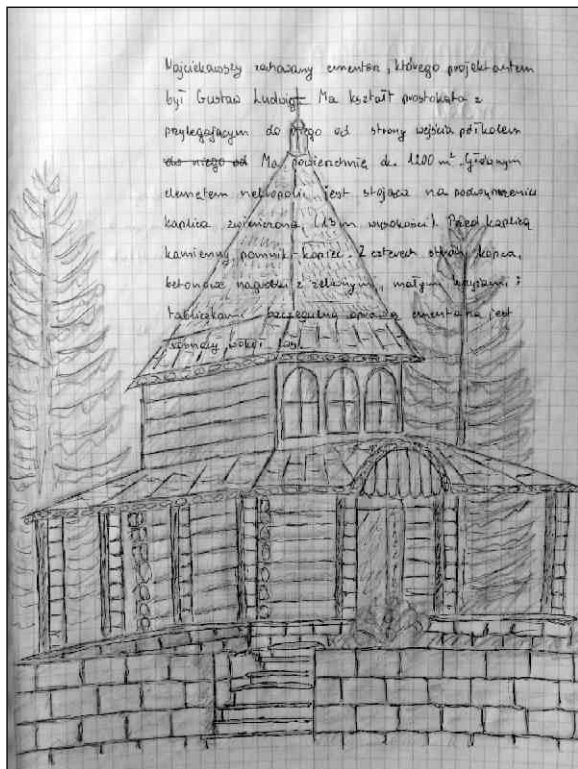
Był to już najdalszy zasięg inwazji rosyjskiej w Galicji Zachodniej. Także siły Rosjan i odporność psychiczna ich bitnego żołnierza nie były niewyczerpane. Jak zwykle pod koniec długotrwałej i rozległej terenowo ofensywy, na korzyść obrońców zaczęło działać skrócenie własnych i wydłużenie nieprzyjacielskich linii zaopatrzeniowych oraz zmęczenie nacierających wojsk. Śmiertelne zagrożenie centralnych ośrodków kraju wzmoгло siły zdemoralizowanych długotrwałymi odwrotami Austriaków.

W pierwszych dniach grudnia 1914 r., z myślą o likwidacji zagrożenia Krakowa, dowództwo austro-węgierskie zorganizowało uderzenie z rejonu Mszany Dolnej i Dobrej na Łapanów - Bochnię, skierowane w lukę pomiędzy nacierającą wzdłuż Wisły na zachód rosyjską 3 Armią Radko-Dmitriewa a próbującą sforsować Karpaty na południe od Gorlic i Nowego Sącza 8 Armią gen. Brusilowa, jednego z najwybitniejszych dowódców rosyjskich tej wojny. Dzięki dogodnym połączeniom komunikacyjnym sprawnie przetransportowano koleją na południe cztery dywizje uwolnione po zakończeniu bitwy pod Krakowem.

Nawet wówczas jednak przeznaczona do tej operacji 4 Armia austro-węgierska była tak słaba, że musiano ją wesprzeć przerzuconą z frontu zachodniego 47 pruską dywizją piechoty. Z mogiłami żołnierzy jej czterech pułków (nr 217, 218, 219 i 220) zetknęliśmy się na wielu cmentarzach w rejonie Łątki, Rajbrotu i Żegociny. Pomocnicze uderzenie z celem osłony prawego skrzydła nacierających dywizji miała wykonać z Dobrej na Limanową polska grupa legionowa pod dowództwem brygadiera Józefa Piłsudskiego. Tak zaczęła się operacja łapanowsko-limanowska.

Atak sprzymierzonych pod dowództwem gen. Rotha wyruszył 2 grudnia. Po początkowych szybkich postępach terenowych już następnego dnia nacierające oddziały uwikłały się w ciężkie i przewlekłe walki wokół Góry św. Jana oraz na





Szkic kaplicy na cmentarzu nr 357 w Kamionce Małej. „Pochowano tu żołnierzy walczących między 8 a 13 grudnia 1914 r. O dominujące nad okolicą wzgórze Kobylą. Wśród pochowanych jest wielu Polaków. Razem 246 żołnierzy.”

południe od Łapanowa i Rajbrotu. Obie strony wyęczały wszystkie siły, nie zważając na straty w ludziach, gdyż od wyniku tej bitwy mógł zależeć los całego frontu galicyjskiego, a w dalszej perspektywie - los wojny. Utworzoną tu przez Rosjan linię obronną udało się przełamać dopiero 7 grudnia.

Oddziały rosyjskie cofnęły się jednak tylko o kilka kilometrów, za Stradomkę i Potok Trzciański. W tym samym czasie nieco dalej na południowy wschód trwały starcia o znacznie mniejszej skali, lecz ważne dla polskiej historii wojskowości, gdyż prowadzone przez I pułk piechoty Legionów Polskich współdziałający z węgierską 11 dywizją kawalerii honwedu. "Z jednej i drugiej strony w tej górzyściej okolicy występowała do boju kawaleria, dumnie jeszcze szukająca szarży i mająca w pogardzie kopanie się jak kret w ziemi - wspomina Piłsudski w pracy "Moje pierwsze boje". - Za to było dużo przestrzeni i ruchu. Nie zastygaliśmy na dłużej w jednym miejscu, codziennie była zmiana sytuacji, zmuszająca myśleć, odgadrywać przeciwnika. (...) Tańczyłem swego kontredansa koło Limanowej. To zbliżaliśmy się do niej, to znowu odchodziliśmy. To byliśmy przekonani, że właściwie przed nami są tylko nieliczne grupy kawalerii, to znowu drżeliśmy przed przemocą nieprzyjacielską. (...) Wreszcie przełamało się. Pewnej nocy, dowiedziawszy się, że Rosjan w Stopnicy mało, przeszedłem Chyżówkę, wyrzuciłem trochę kozaków ze wsi i posłałem na tyły Tymbarku, zajętego jeszcze przez Rosjan, jeden batalion z karabinami maszynowymi. I nazajutrz byliśmy już w Limanowej. Było to 4 grudnia."



Po tym sukcesie Piłsudski, pomimo swego osłonowego w istocie zadania, poszedł ze swoją nieliczną grupą (dwa słabe bataliony piechoty, dwa szwadrony kawalerii, dwie baterie przestarzałych armat polowych) śmiało do przodu przez Pisarzową i Marcinkowice, nie napotykając prawie oporu i mając już na widoku odbicie Nowego Sącza. Inne oddziały austro-węgierskie pozostały kilkanaście kilometrów z tyłu. Późnym wieczorem 5 grudnia Polacy osiągnęli Dunajec, zza którego dobiegał turkot licznych wozów. Uznając, że są to rosyjskie tabory ewakuujące się z Nowego Sącza, nazajutrz o świcie Piłsudski rzucił do ataku swoją kawalerię. Niestety, rzekome tabory okazały się VIII korpusem rosyjskim, rozwijającym się właśnie do natarcia. Wielokrotnie słabsze oddziały polskie po ciężkich walkach pod Marcinkowicami z trudem wydostały się z pułapki, tracąc 92 żołnierzy.

Ów VIII korpus, wchodzący w skład 8 Armii Brusilowa, wobec alarmującej sytuacji pod Łapanowem został dopiero co pośpiesznie wycofany z przełęczy karpackich i zwrócony frontem na zachód. Jego uderzenie, wykonane 6 grudnia znad Dunajca w kierunku Limanowej, zagroziło tyłom grupy gen. Rotha i zapoczątkowało kryzys bitwy. Następnego dnia rozgorzały walki w dolinie Łososiny, którą posuwała się 14 rosyjska dywizja piechoty, tworząca prawe skrzydło natarcia. Zagroziła ona odcięciem austriackiej 6 dywizji kawalerii, która zaawanturowała się dość daleko w stronę Brzeska, a następnie zadała jej porażkę pod Jaworznią. Rosjanie zajęli także kluczowe wzgórze Kobyła górujące nad doliną od północy. Atakująca na prawym skrzydle grupy Rotha 47 dywizja pruska musiała zrezygnować z posuwania się na Wiśnicz i przejść do obrony na linii Leszczyna - Rajbrot, zwracając część sił frontem na wschód. Na południowym odcinku austriacka kawaleria i legioniści z trudem utrzymywali rejon Limanowej, wypierani z wolna przez rosyjską 15 dywizję piechoty. 10 dywizja kawalerii rosyjskiej gen. Kellera posuwała się w górę Dunajca.

Doszło do oryginalnej sytuacji: na lewym skrzydle austriackim, w rejonie Gdowa, Łapanowa i Sobolowa, wciąż trwało powolne, ale w miarę pomyślne natarcie w kierunku Bochni, do którego przyłączyły się od strony Wieliczki oddziały gen. Lubiczicza, natomiast na prawym skrzydle, w Beskidzie Wyspowym, słabe oddziały spiesznej kawalerii stawiały rozpaczliwy opór prącym na zachód Rosjanom. Każde z tych dwóch przeciwstawnych natarć w wypadku powodzenia stawiało przeciwnika w rozpaczliwej sytuacji. Dla strony austriackiej sprawą życia i śmierci stało się więc utrzymanie Limanowej. Obie armie pośpiesznie ściągały posiłki.

Krytycznym dniem bitwy był 10 grudnia. Na północnym odcinku frontu Rosjanie wprowadzili do walki dwa świeże korpusy przerzucone zza Wisły i osiągnęli przewagę. Kluczowym punktem okazało się wzgórze 364 m w Gierczycach-Czyżycze koło Sobolowa, zwane Łysą Kopą. Szturmująca je austriacka 3 dywizja piechoty wykrwawiła się w bezskutecznych atakach. Pod koniec dnia dywizje grupy Rotha zostały zepchnięte za Stradomkę, lecz wyczerpani walką Rosjanie nie byli w stanie rozwinąć powodzenia i ich kontruderzenie zamarło. W dolinie Łososiny natomiast nie powiodło się przeciwnatarcie dwóch świeżych





Szkic wejścia na cmentarz nr 303 w Rajbrocie. „Cmentarz położony jest na skraju lasu (wzgórze 429 m n.p.m.) po lewej stronie drogi z Rajbrotu do Muchówki, 2,3 km od kościoła. Z drogi widoczna brama cmentarza.”

dywizji landwery gen. Arza. Oddziały rosyjskie ponownie zdobyły wzgórze Kobyła i rejon Rajbrotu.

11 grudnia miał miejsce ostatni, dramatyczny epizod bitwy o Limanową. Przed świtem tego dnia oddziały rosyjskie zaatakowały miasto doliną Łososiny, a także górami od południowego wschodu, przez wzgórze Jabłoniec. W nocnej walce wręcz wzgórze odbili i utrzymali aż do nadejścia posiłków spieszeni kawalerzyści węgierscy z 9 pułku huzarów pod dowództwem płk. Muhra, który zwycięstwo przypłacił życiem. Warto dodać, że huzarzy byli szkoleni głównie do walki kawaleryjskiej, nie mieli pojęcia o okopywaniu się, nie posiadali w wyposażeniu bagnetów ani łopatek saperskich, więc musieli sobie radzić kolbami karabinów, a nawet gołymi pięściami. Starcie to nie miało może decydującego znaczenia, gdyż wiele wskazuje na to, że Rosjanie podjęli już w tym czasie decyzję odwrotu, zaś atak miał ułatwić oderwanie się od przeciwnika, tym niemniej w tradycji austriackiej, a zwłaszcza węgierskiej, szturm Jabłońca stał się punktem kulminacyjnym bitwy, symbolem bohaterstwa i poświęcenia żołnierza węgierskiego.

Nic dziwnego, że na zroszonym krwią wzgórzu wybudowano jeden z najokazalszych architektonicznie cmentarzy wojskowych Zachodniej Galicji. Tak pisał na gorąco o tej walce Ferenc Molnar, wybitny pisarz węgierski, polskiemu czytelnikowi znany głównie jako autor słynnej powieści młodzieżowej „Chłopcy z Placu Broni”, a w 1914 r. korespondent wojenny: *„Ci chłopcy węgierscy w noc ciemną jak smoka dostali rozkaz: zostawić konie we wsi, dotrzeć do okopyu ciągnącego się przez strome wzgórze*



aż na grzbiet i zlizować walczących tam żołnierzy. Huzarzy, ze swymi oficerami na czele, posuwając się na czworakach ostrożnie zbliżali się do okopu. Przeciwnik miał na tym wzgórzu przewagę i nim huzarzy dotarli do okopu, Moskale już go zdobyli i pośród tej czarnej nocy czekający na naszych chłopców wrogie karabiny maszynowe. Gdy rozległa się rosyjska strzelanina, oficerowie od razu zrozumieli sytuację i poprowadzili huzarów do ataku. Węgierskie młokosy z kolbami karabinów poszli na armię rosyjską wyposażoną w bagnety i karabiny maszynowe. (...) Chodząc wśród poległych Rosjan widziałem bardzo niewiele ran od kul. Rosjanie, którzy tu zginęli na wzgórzu, padli od potwornych uderzeń kolb. Pewien porucznik huzarów rzucił się na nich z łopatą o dfugiej rękojęści, wciąż idąc na czele, jak zresztą wszyscy oficerowie. Na samym przedzie pufkownik Muhr... Jego prowizoryczna tablica pamiątkowa, w miejscu, gdzie zginął, pokryta jest gałązkami świątecznych choinek..."

W walkach tych nie brały już udziału bataliony Legionów. Jeszcze 8 grudnia skierowano je przez Zalesie do doliny Kamienicy, dla osłony prawego skrzydła austriackiego, zagrożonego przez rosyjską kawalerię posuwającą się w górę Dunajca. Gdy rozpoczął się odwrót rosyjski, legionieści pomaszzerowali przez Łącko i Podegrodzie do Nowego Sącza, który Rosjanie opuścili 12 grudnia.

O wyniku zmagañ zadecydowały wydarzenia rozgrywające się na południe i wschód od Nowego Sącza. W dniu 7 grudnia biernie dotąd zachowujące się oddziały broniącej linii Karpat 3 armii austriackiej gen. Boroewicza, ponaglone przez naczelne dowództwo, ruszyły na północ. Główny wysiłek skoncentrowano w dolinach Popradu i Kamienicy Nawojowskiej, dokąd ściągnięto kolejną m.in. jednostki broniące dotąd przełęcz bieszczadzkich. Natarcie posuwało się powoli i dopiero 11 grudnia dotarło na przedpola Nowego Sącza, ale mimo to stwarzało poważne zagrożenie dla tyłów wojsk rosyjskich walczących pod Limanową. Wydaje się jednak, że większe wrażenie na dowództwie rosyjskim zrobiło przekroczenie przez oddziały przeciwnika przełęcz w środkowym Beskidzie Niskim, w kierunku Żmigrodu i Dukli. Sukces Austriaków na tym odcinku mogłoby bowiem doprowadzić do katastrofy wysuniętych pod Kraków armii rosyjskich.

Choć - jak wykazały późniejsze wydarzenia-Austriacy nie mieli pod Duklą dość sił, by poważnie zagrozić przeciwnikowi, od rana 12 grudnia 3 i 8 armie rosyjskie rozpoczęły generalny odwrót na linię Dunajca. Wygrana przez Austriaków bitwa limanowska miała doniosłe znaczenie strategiczne. Wycofanie się armii Radko-Dimitriewa pociągnęło za sobą odwrót Rosjan na północnym brzegu Wisły i wstrząsnęło całym frontem rosyjskim w Królestwie, aż po Bzurę. Miała także wielkie znaczenie psychologiczne, jako pierwsze od trzech miesięcy zdecydowane zwycięstwo Austro-Węgier, tym cenniejsze, że odniesione w trudnych warunkach górskich, przy marnej, jesienno-zimowej pogodzie i w obliczu przewagi liczebnej przeciwnika. Wojska państw centralnych odzyskały w Galicji ok. 50 km terenu, według oficjalnych danych wzięto do niewoli 30 tys. jeńców. Zrównoważyło to w jakimś stopniu wiadomości o druzgocącej klęsce, jaką w tym samym czasie poniosły armie austriackie w Serbii.

Impet rosyjskiego "walca parowego" został ostatecznie wyhamowany,



aczkolwiek trzeba było jeszcze kilkumiesięcznych, niezwykle krwawych walk zimowych na linii Karpat i wielkiego zwycięstwa gorlickiego, odniesionego przy poważnym udziale niemieckiego sojusznika w maju 1915 r., by obce wojska ostatecznie opuściły zachodnią, a później i wschodnią Galicję.

Źródła:

1. Frodyma R., Galicyjskie cmentarze wojenne, T III. Pruszków 1998.
2. Dąbrowski J., Wielka wojna 1914-1918. Warszawa 1937.
3. Garduła K., Ogórek L., Śladami I wojny światowej między Rabą i Dunajcem. Kraków 1988.
4. Molnar F, Wspomnienia korespondenta wojennego (fragmenty). [W:] Magury'90, Warszawa 1990.
5. Olszański T. A., Pierwsza wojna światowa w Karpatach. Warszawa 1985.
6. Piłsudski J., Moje pierwsze boje. Łódź 1988.
7. Zgórniak M., 1914-1918. Studia i szkice z dziejów I wojny światowej. Warszawa 1987.
8. <http://cmentarze.jasonek.pl/cmentarz/cmentarz-wojenny-z-i-wojny-nr-368-limanowa-jabloniec>
9. Ilustracje do artykułu pochodzą z referatu opracowanego na lekcje w Zespole Szkół im. Św. Jadwigi Królowej przez Mateusza Gizę, Sylwestra Lekkiego, Łukasza Matrasa.

Od Redakcji



Od początku do końca sierpnia 2019 roku, w Izbie Regionalnej prezentowane były fotogramy autorstwa Jana i Klaudyny Schubert wchodzące w skład wystawy fotograficznej „Cmentarze żołnierskie bitwy pod Limanową i Łapanowem 2-12.12.1914”. Wystawę stanowiło 35 fotografii prezentujących cmentarze i jednostkowe miejsca pochówków żołnierzy poległych na froncie bitwy grudnia 1914 roku na naszym terenie.

Podczas wystawy prezentowane były zdjęcia nie tylko z terenu naszej gminy, ale także Sobolowa, Woli Nieszkowskiej, Bochni, Brzeska, Dębna, Nowego Sącza, Gorlic, Limanowej i in. Zdjęcia przedstawiały nagrobki, architekturę nekropolii, jak i detale kowalskiego rękodziela. Finisaż wystawy, który odbył się 31 sierpnia 2019 wzbogacony został wykładem autora wystawy, dr inż. Jana Schuberta, dotyczącym cech charakterystycznych dla architektury mogił wojennych na terenie Galicji Zachodniej. Zapis prelekcji znajdziecie Państwo pod linkiem dostępnym na naszej stronie internetowej: www.spzz.zegocina.pl pod datą 31 sierpnia 2019 r.

O Autorze wystawy: Dr inż. arch. Jan Schubert, ur. 27.05.1943 w Krakowie, w latach 1962-1968 studiował na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Pracę dyplomową napisał pod kierunkiem prof zw. dr. hab. inż. arch. Wiktora Zina.





Joanna Pastuszek-Cybulska wraz z autorem wystawy, dr. inż. arch. Janem Schubert

Tytuł pracy: "Projekt konserwatorski zagospodarowania ogrodów pomiędzy kościołem Św. Katarzyny a klasztorem OO Paulinów na Skałce". W latach 1974-1977 uczęszczał na studium podyplomowe konserwacji zabytków architektury i urbanistyki przy Instytucie Historii Architektury i Konserwacji Zabytków Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej. Stopień doktora nauk technicznych uzyskał w 1981 r. Od 1982 do 2010 r. był zatrudniony jako adiunkt naukowo-dydaktyczny w Zespole Historii Architektury Powszechnej Katedry Historii Architektury Urbanistyki i Sztuki Powszechnej Instytutu Historii Architektury na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. W 2010 r. przeszedł na emeryturę. Jego zainteresowania naukowe realizowały się w dwóch nurtach badawczych. Jeden wynikający z kierunkowego wykształcenia - inżyniera architekta dotyczył przemian wsi polskiej, drugi późniejszy jest odbiciem historycznych zainteresowań skupiających się na architekturze nagrobnej i cmentarzach, zwłaszcza z lat I wojny światowej. Efekt prowadzonych badań terenowych i archiwalnych to 20 artykułów naukowych, w tym 4 współautorskie, opublikowanych w czasopismach i pracach zbiorowych krajowych (m.in. „Teka Komisji Urbanistyki i Architektury”, „Rocznik Krakowski”, „Wiadomości Konserwatorskie”, „Czasopismo Techniczne”); udział w kilku konferencjach ogólnopolskich i międzynarodowych. W latach 1985-1986 współpracował z Urzędem Gminy w Żegocinie w zakresie opieki nad cmentarzami z I wojny światowej, położonymi na terenie gminy.



Dawne drewniane budownictwo Żegociny i okolic. Część trzecia



bok budownictwa mieszkalnego i zabudowań gospodarczych czy sakralnych w Żegocinie i okolicy, budowano także drewniane budynki służące świadczeniu usług dla tutejszej ludności. Możemy do ich zaliczyć: młyny, wiatraki, tartaki, zwane przez miejscową ludność „trocami” oraz kuźnie i karczmy.

Mieleniu ziarna na mąkę i kaszę służyły młyny wodne, poruszane za pomocą koła wodnego lub turbiny wodnej, usytuowane nad rzekami lub w pobliżu stawów. Za najstarsze udokumentowane istnienie młyna wodnego na ziemiach polskich przyjmuje się młyn wzniesiony w Łęczycy, o którym źródła wspominają w 1145 roku, w Małopolsce z 1268 r. Za starsze rozwiązanie, jakie zastosowano w Polsce uznaje się koło pionowe podsiębierne zw. wałnym, gdzie woda przepływająca pod kołem, poruszała je od dołu, powodując, że koło obracało się w kierunku przeciwnym do prądu rzeki. Nie wymagało to jeszcze wówczas spiętrzania wody, budowy zbiorników wodnych i sypania grobli, wykonywania systemu zastaw, tam, służ czy kanałów ulgi. Inną odmianą były młyny z kołami nasiębiernymi (zw. korzecznymi). One z kolei w pierwszym rzędzie zaczęły powstawać w regionach o większym spadku terenu, gdzie łatwiej było doprowadzić wodę na koło od góry, które obracało się z kierunkiem nurtu rzeki. Kiedy nauczono się wykonywać różnego rodzaju urządzenia wodne, przystąpiono do spiętrzania i czasowego magazynowania (zatrzymywania) wody, to zaś pozwoliło na szersze zastosowanie kół nasiębiernych na terenach nizinnych, ale na szerszą skalę nastąpiło to dopiero w II połowie XV w. Wiek XVI i XVII to okres, kiedy na ziemiach polskich odnotowano najwięcej funkcjonujących młynów w całej historii młynarstwa.

Młyn położony blisko kościoła, należący do parafii w Żegocinie, istniał od kilku wieków. W r. 1529 młynarz płacił plebanowi 1 grzywnę i obowiązany był mleć zboże plebańskie bez należnej mu miarki, pracować 8 dni na rzecz plebana, oddawać meszne oraz reperować młyn. W r. 1668 żegociński młyn się spalił i według opisu ówczesnego proboszcza ks. Wojciecha Kaliszewskiego zginęła wtedy żona młynarza Kaspra i córka oraz 5 krów i cały inwentarz.

Do doprowadzenia wody do młyna służył jaz za wikańską, a koryto młynówki prowadziło wodę przez grunt plebański. Przy końcu XIX w. trwał długoletni spór o jaz i młynówkę. Ks. Jakub Janczy wniósł zażalenie przeciw Kasprowi Bilskiemu o samowolne przeniesienie jazu na potoku Saneckim pod grunty plebańskie. Starosta bocheński nakazał Bilskiemu rozebrać nowy jaz i przenieść go na dawne miejsce oraz polecił zabezpieczyć budowlę przed



wylewaniem się wody na grunta plebańskie i krajowy gościniec.

W kronice parafialnej, pod rokiem 1837 zapisano: „Młynarz plebański Jędrzej Mrugacz przybudował chałupę około młyna i utrzymuje w niej garbarnię - zobowiązał się jednak płacić czynszu 2 floreny rocznie w roku 1836, co regularnie płaci”. Pod datą 1839 ks. proboszcz Kacper Górka zapisał „Dałem staw nad młynem stamować, aby go można zarybić, lecz dla wspomnianej powodzi musiałem zaprzestać odkładać tę robotę na później”.

W tymże "Liber memorabilium" przy zapisie z 1780 r. jest wzmianka, że ówczesny pleban dawał nową młynnicę, poprawiał koło, kamienie itp. Pleban pobierał od młynarza 12 florenów oraz pewne świadczenia za dzierżawę części pola plebańskiego". W r. 1887 Kasper Bilski sprzedał młyn z domem i placem „Izraelicie” Samuelowi Rosenblumowi, który zlikwidował młyn, a uruchomił tartak.

Po uwłaszczeniu chłopów (od 1848 roku), zmniejszyła się liczba młynów wodnych na skutek prac związanych z regulacją rzek, a także nieumiejętnie prowadzonych melioracji, które zmniejszyły niekiedy do tego stopnia ilość wody, że nie była ona w stanie poruszać koła młyńskiego. Likwidowane młyny wodne zastępowano wiatrakami.



Wiatrak w okolicy Rozdziela – zdjęcie z albumu Czesława Blajdy (na zdjęciu pierwszy z prawej)

Wiatrak to budowla drewniana, niekiedy murowana, wyposażona w skrzydła poruszane siłą wiatru i napędzające urządzenia służące mieleniu zboża na mąkę. Pierwsze wiatraki europejskie pojawiły się we Francji na początku XII wieku, a od wieku XIII upowszechniły się w Europie. Wczesny wiatrak tego typu



był budką, którą obracano wokół centralnie usytuowanego słupa (wiatrak palowy), by ustawić skrzydła na wiatr. Występują również koźlaki z poziomo umieszczoną osią śmigła posiadające możliwość obrotu całej konstrukcji wiatraka. W końcu XIV wieku pojawił się wiatrak wieżyczkowy (holenderski) z obracalną tylko górną częścią, na której zawieszono były skrzydła.

Pierwsza wzmianka o pojawieniu się wiatraków, czyli młynów wietrznych na ziemiach polskich pochodzi z II połowy XIII wieku. Jest ona zawarta w zezwoleniu na budowę młynów poruszanych powietrzem, pochodzącym z 1271 r., a wydanym klasztorowi w Białym Buku przez księcia Wiesława z Rugii. Jak wynika ze stosunkowo dokładnych rejestrów w Polsce w XVIII w. było ok. 20 tysięcy wiatraków. Szczytowym okresem rozwoju wiatraków na terenie Polski jest XIX w. W tym czasie wydano bowiem wiele korzystnych zarządzeń administracyjnych, m. in. zniesiono przymus mlewa, wprowadzono obowiązek posiadania papierów mistrzowskich przez osoby będące właścicielami młynów itd. Przełom XIX na XX wiek kończy okres wspaniałego rozwoju młynarstwa wiatrowego. Rozwój przemysłu, powstanie dużych przedsiębiorstw, stosujących najnowsze zdobycze techniki, postępująca kapitalizacja, która obejmuje m. in. młynarstwo – wszystko to tworzy konkurencję dla słabo technicznie na tym tle zaawansowanych wiatraków. Liczba ich zaczęła gwałtownie spadać, chociaż do początków II wojny światowej odgrywały jeszcze znaczną rolę w przetwórstwie zbożowym. Jedynie na południu Polski (Pogórze) liczba wiatraków wzrosła znacznie.



Wiatrak w gospodarstwie Józefa Pławckiego w Rozdzielu.



Młyny wietrzne zasługują na specjalną uwagę, ze względu na niegdyś jedyny dynamiczny element naszego pejzażu. Z dużej odległości sygnalizowały swoją pracę poprzez obracające się śmigła. Ich szum był dźwiękiem niepowtarzalnym i niezapomnianym.

Jak wspomina Czesław Pączek, w Żegocinie, po II wojnie światowej w Żegocinie były trzy młyny wodne. Jeden stale czynny "Na Rdzawkach", następny trudnił się mieleniem prosa i jeden był nieczynny. Dziś na terenie Gminy Żegocina znajduje się tylko jeden wiatrak, uruchamiany okazjonalnie. Został wybudowany w Rozdzielu, w gospodarstwie Pana Józefa Pławeckiego.

Nie jest to jednak taki wiatrak, jakie były w okolicy jeszcze w latach po II wojnie światowej, bo przede wszystkim jest mniejszy. Choć działa, to uruchamiany jest rzadko, właściwie tylko w celach pokazowych. Zawsze jednak wzbudza zainteresowanie.

Dopóki nie wymyślono i zastosowano w przemyśle silnika parowego, potem spalinowego, dobrze funkcjonowały też tartaki napędzane kołem wodnym, czyli zakłady, w których dokonywało się przerobu drewna okrągłego na tarcicę, inaczej przecierania, czyli rozpiłowywania za pomocą urządzenia zwanego trakiem. Stąd też w tych okolicach tartaki nazywa się gwarowo „trocami”.

Przez bardzo długi czas przecinanie grubych pni drzewnych było ciężką pracą, wymagającą wysiłku przynajmniej dwóch ludzi. Odbywało się to w ten sposób, że po ścięciu drzewa i obcięciu wszystkich gałęzi, umieszczano kłoc na specjalnym rusztowaniu nad dołem, po czym jeden z ludzi wychodził na pień, a drugi wchodził do dołu. Cięli przy pomocy długiej elastycznej piły wzdłuż narysowanych linii. Silniejszy na górze, słabszy na dole - praca trwała nawet kilka godzin.

Pierwszy tartak wymyślił i zbudował holenderski rolnik Cornelis Corneliszoon w roku 1594. Skonstruował rodzaj wału korbowego - opracował proste ramię i tłok napędzane (wykorzystując przy tym siłę wiatru), za pomocą mechanizmu wiatraka. Maszyna, którą skonstruował, wykonywała ruchy góra - dół, teraz pozostało jedynie przesuwac przecinany pień. Wkrótce do napędu zaprzęgnięto wodę - zaczęto budować tartaki nad wartkami strumieniami, wykorzystując koła wodne. Pomimo, że nadal trzeba było przesuwac przecinane kłody, to wydajność ówczesnych tartaków była zdecydowanie wyższa od wyników osiągniętych ręcznie - 500 desek dziennie, co było gigantycznym skokiem naprzód. 100 lat później, Anglicy skonstruowali modele zbliżone już w swojej zasadzie działania do współczesnych.

Zapotrzebowanie na usługi tartaczne dotarło także do Żegociny. Młyn i tartak istniał w przysiółku Nadole. Informuje o tym „Skorowidz przemysłowo – handlowy Królestwa Galicji”, wydany w 1912 roku, który podaje, że w Żegocinie (Rzegocinie) działa tartak benzynowy, należący do Kazimierza Janiczka. Drewniany tartak, napędzany siłą wody prowadził tu, sprowadzony z Milicza przez Samuela Rosenbuma pod koniec XIX wieku, Johan Tytz. Uruchomienie zakładu miało miejsce w 1901 roku.





Tartak Tyców w Żegocinie. Zdjęcie archiwalne – ok. 1985 r.

Po śmierci Johana Tytza prowadzenie zakładu przejął jego syn – Jan Tytz (jego nazwisko później spolonizowano na Tyc), a następnie Grzegorz Tyc. Jego syn Janusz dokonał w zakładzie kilku udoskonaleń, ale rosnąca konkurencja, mająca lepsze urządzenia zmusiła go do zakończenia świadczenia usług. Ten tartak funkcjonował więc prawie jeden wiek.

Ze współczesnego krajobrazu znikają także w zastraszającym tempie drewniane kuźnie. Po uwłaszczeniu chłopów w Małopolsce w 1848 roku znacznie poprawiła się sytuacja materialna wsi. Spowodowało to zwiększenie zapotrzebowania na różne wyroby żelazne, również bogato dekorowane. Zaspokajali je małomiasteczkowi rzemieślnicy i kowale wiejscy.

Kowalstwo od dawien dawna było zawodem magicznym. Umiejętność rozmiękczenia i formowania metalu budziła podziw i respekt. Niegdyś w okolicy Żegociny było kilka kuźni, a zawód kowala był dziedziczony z ojca na syna. Nabywane przez kolejne pokolenia umiejętności dawały rodzinie kowala szansę na dobrobyt. Usługi kowala były niezbędne w pracy na roli, gospodarstwach i w lesie. Wytwarzał i naprawiał narzędzia, a kuźnia była nieodzownym elementem wsi. Kto nie miał pieniędzy, mógł zapłacić kowalowi robotą.

Kuźnia – to budynek przeznaczony do prac kowalskich, zbudowany głównie z drewna na planie prostokąta. Stawiano go z dala od innych zabudowań ze względu na ryzyko pożaru, a więc w środku wsi lub na jej obrzeżu. Niektóre kuźnie miały podcienia, które ułatwiały wykonywanie prac poza budynkiem w sytuacji uciążliwych warunków pogodowych. Jednym z rodzajów takich prac było podkuwanie koni, które wymagało kształtowania podkowy przy palenisku i kowadle oraz mocowanie jej do kopyta na zewnątrz. W kuźniach wykonywano także narzędzia i sprzęty żelazne wykorzystywane w życiu codziennym mieszkańców wsi



(noże, garnki) oraz przez innych rzemieślników (gwoździe, haki, zamki), a także elementy żelazne obiektów sakralnych, głównie krzyże. Dym z palenisk uchodził przez drzwi lub szpary w budynku, w niektórych kuźniach stosowano kaptur z dymnikiem.

Od XIX wieku w kuźniach stosowano także narzędzia wytwarzane fabrycznie: m.in. śrubokręty, wiertła, wiertarki, imadła, później także narzędzia elektryczne.

Pod koniec XIX wieku już niemal każda wieś miała swojego kowala, a w Małopolsce zdarzały się dwie, nawet trzy kuźnie w jednej wsi. Sposobem na wyróżnienie się wśród konkurencji było zdobienie wyrobów. Kuźnie były miejscem spotkań miejscowych i przyjezdnych. Panujący nad niebezpiecznym i tajemniczym żywiołem kowal cieszył się szacunkiem. Ceniono go także ze względu na fachową wiedzę i liczne umiejętności.

Przed II wojną światową w Żegocinie i okolicy było kilka kuźni: u Szymona Mroza, "U Marianów", Stanisława Janiczka na "Baranówce" w Żegocinie, Chronowskich w Bełdnie, Zygmunta Janiczka na "Konicach" w Łąckiej Górnej. Spośród kilku kuźni, działających na terenie gminy, najdłużej działały dwie: Stanisława Waligóry w Bełdnie (przysiółek Potoki) i kuźnia Józefa Dziedzica z Kierlikówki.

Kowalstwem zajmowała się rodzina Waligórów od niepamiętnych czasów. Kuźnia, którą do dziś można podziwiać w "Potokach" stała wcześniej w innym miejscu i była mniejsza. Najstarsze jej elementy mają ponad 200 lat. W obecnie miejsce budynek przestawił Tomasz Waligóra. To on rozbudował kuźnię na



Kuźnia Waligórów na Potokach w Żegocinie.



większą, Ojciec Stanisława Waligóry - Błażej - zmarł wcześniej, w 1947 roku, pracował więc w kuźni krótko. Po jego śmierci syn Stanisław kontynuował dzieło swoich poprzedników. W 1948 roku Stanisław poszedł na nauki do Janiczka na "Baranówce". Przez 2,5 roku, od 7 rano do wieczora poznawał tajniki sztuki kowalskiej. Kiedy już miał fach w ręce, rozpoczął prace w kuźni na "Potokach". W ten sposób zarabiał na życie. Kuł konie, wozy, naprawiał sprzęt rolniczy, robił pługi, brony, lemiesz, siekiery. Dziennie podkuwał 5 - 6 koni. Ostatniego podkuł w 1995 roku. Kuźnia stała się zabytkiem, który można oglądać wędrując po Gminie Żegocina. Choć jeszcze czuć tu atmosferę dawnych czasów i charakterystyczny zapach palonego węgla, to osmolone ściany kuźni, kowalskie sprzęty są już relikami dawnych czasów.



Kuźnia Dziedziców w Kierlikówce

Ojciec Józefa Dziedzica z Kierlikówki też był kowalem i miał własną kuźnię na tzw. Kupkach w Kierlikówce. Podczas wojny, w 1941 roku kuźnia jednak się spaliła i nie było możliwości, by ją odbudować. Dopiero po wojnie, po powrocie z Ziemi Odzyskanych, Józef Dziedzic odbudował kuźnię i zaczął świadczyć usługi kowalskie. Wtedy w okolicy było aż trzech kowali: on, Józef Król i Zygmunt Janiczek. Wszyscy mieli ręce pełne roboty. Mijały lata. Dla kowali przyszły ciężkie czasy. Pracy było już coraz mniej, aż wreszcie trzeba było zrezygnować z pracy w kuźni i budynek zamknąć. Z każdym rokiem coraz bardziej niszczeje i pewnie wkrótce zniknie z krajobrazu Kierlikówki.



Ostatnim elementem drewnianej architektury okolic Żegociny, o którym wspominam są spichlerze, czyli budowle przeznaczone do przechowywania materiałów sypkich, głównie ziaren zbóż – luzem lub w workach.

Spichlerz to najczęściej budynek drewniany o konstrukcji zrębowej, parterowy, nakryty dwuspadowym dachem, wniesiony na planie prostokąta i posadowiony na „peckach”, czyli kamieniach odgrywających rolę prymitywnej podmurówki. Jedyne pomieszczenie wewnątrz nakryte jest belkowym, otwartym stropem. Podłogę wykonano z desek położonych na grubych belkach – legarach.

W Żegocinie i okolicy można spotkać jeszcze kilka drewnianych spichlerzy, ale najczęściej pełnią już tylko rolę przydomowych magazynów różnego rodzaju sprzętów i materiałów.



Spichlerz w Rajbrocie.

Architektura drewniana, która przetrwała do naszych czasów zachwyca bryłą, konstrukcją, misterną snycerką i bogatym detalem architektonicznym. Aby chronić te obiekty od zniszczenia utworzono w 2001 roku Szlak Architektury Drewnianej. Biegnie przez cztery województwa: śląskie, małopolskie, podkarpackie i świętokrzyskie. Na małopolskim odcinku szlaku jest najwięcej drewnianych obiektów, bo aż 254. Są to: kościoły, cerkwie, zespoły zabudowań (m.in. łemkowska i góralska), spichlerze, dzwonnice, dwory i skanseny. Najstarsze obiekty pochodzą z XV w., najnowsze z początku XX w. Szlak Architektury Drewnianej w Województwie Małopolskim, o długości 1500 km obejmuje 237 zespołów architektonicznych od kościołów, cerkwi, kaplic i dzwonnicy po spichlerze, wiejskie chałupy i szlacheckie dwory. Wszystkie obiekty na szlaku są oznakowane. Do





Spichlerz w Żegocinie.

największych skarbów regionu należą kościoły w Sękowej, Binarowej, Lipnicy Murowanej i Dębnie Podhalańskim, które w 2003 roku zostały wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Naturalnego UNESCO. Na tym szlaku umieszczono także drewniany kościół w Rozdzielu i jest to jedyny obiekt z terenu gminy Żegocina na Małopolskim Szlaku Architektury Drewnianej.

Obecnie większość budynków wraz z wyposażeniem bezpowrotnie niszczała lub została rozebrana, a ochrona dawnych polega niejednokrotnie na całkowitej rekonstrukcji obiektów i urządzeń w oparciu o zachowane fotografie, dokumenty archiwalne i inwentaryzacje lub translokację, konserwację i odbudowę na terenie skansenów znajdujących się w terenie, mocno zniszczonych budynków.

W 2011 roku Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej zrealizowało projekt „Dawna architektura drewniana Gminy Żegocina”. Sfotografowano i opisano wtedy ponad dwieście drewnianych obiektów na terenie gminy Żegocina, urządzono okolicznościową wystawę, przeprowadzono konkurs fotograficzny. Wiele z udokumentowanych wtedy obiektów już dziś niestety nie istnieje. Pozostały jednak na szczęście w podstawowym zakresie udokumentowane.

Źródła:

1. Archiwum Parafialne - „Liber memorabilium in Rzegocina”
2. Blajda Czesław, Żegocina dawna i współczesna: w 700-lecie powstania wsi, Wyd. Urząd Gminy w Żegocinie, 1993
3. www.drewniana.malopolska.pl
4. Materiały archiwalne SPZZ im. Czesława Blajdy



Głowa do góry, pierś wypięta i do przodu!

Riedy dwanaście lat temu przyjechałam do Anglii - do miasta Leicester, nie przypuszczałam, że zostanę tu tak długo. Przyjechałam do męża i córki, którzy po 1 maja 2004 roku (wstąpienie Polski do Unii Europejskiej) tutaj znaleźli pracę. Początki były bardzo trudne, ale jakoś pomalutku przyzwyczajaliśmy się do angielskich realiów życiowych. Mój prawdziwy pobyt tutaj zaczyna się sześć lat temu w momencie, kiedy rozpoczęłam pracę w Polish Day Center, organizacji działającej przy Polskiej Parafii. Podjęłam tam pracę jako opiekunka chorych starszych osób-Polaków z Leicester. Wtedy właśnie poznałam osoby z emigracji powojennej, którzy przybyli do Anglii w 1948 roku wraz z żołnierzami gen. Władysława Andersa.

Polacy, których zawierucha wojenna doprowadziła aż do Leicester, stworzyli tutaj swoją małą Ojczyznę. Nie mogąc wrócić do Polski, do swoich domów, obecnie znajdujących się na terenie Ukrainy, znaleźli swoje miejsce tutaj. Założyli organizacje – Harcerstwo, Klub Polski, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Chór „Halka”, Zespół Folklorystyczny „Polesie”, dzięki którym kultywowali zwyczaje i tradycje polskie. To wcale nie było łatwe biorąc pod uwagę wielokulturowość tego miasta.

I ja również zaangażowałam się w pielęgnowanie polskiej kultury, organizując oprawę artystyczną do świąt narodowych. Właśnie ta działalność pozwoliła mi zbliżyć się do Polaków – Sybiraków i kombatantów II Wojny Światowej. Właśnie tutaj poznałam ludzi z niesamowitą przeszłością wojenną, którzy dają świadectwo prawdziwej historii Polski.

Chciałam tutaj opisać losy jednej polskiej rodziny, której członkowie zostali deportowani w 1940 r. ze wschodu Polski na daleką Syberię. Opowiem o losach rodziny Pani Mili Bisewskiej, której zagmatwany życiorys miał swój finał w tym roku.

Do wyjaśnienia losów rodziny Pani Emilii przyczynił się mieszkaniec Łątki Górnej, Pan Dominik Guzik. Dzięki temu, że jest historykiem i pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej, wyjaśnił nieznane dotąd okoliczności śmierci ojca Pani Mili.

A jak to się stało, napiszę po kolei. Pani Mila Bisewska zgodziła się opowiedzieć mi swój życiorys i zaprosiła mnie do siebie do domu. Obecnie ma 91 lat i jest wspaniałą osobą pełną energii i poczucia humoru.

Życiorys Pani Emilii Bisewskiej

Pani Mila Bisewska urodziła się we wsi Pińskie Błota, powiat Drohiczyn Poleski. Miała dwóch starszych braci, Zenka i Mariana. Rodzice jej posiadali tam gospodarstwo rolne o pow. 10 ha, w tym 2 ha lasu. Ojciec Józef Słomka, z zawodu policjant, otrzymał w nagrodę ziemię od Marszałka Józefa Piłsudskiego za udział w walkach podczas I Wojny Światowej. Matka zajmowała się wychowaniem dzieci.

Wraz z pięcioma rodzinami polskimi osiedlili się we wsi Pińskie Błota. Ojciec był wielkim patriotą i starał się to przekazywać swoim dzieciom. Uczył ich śpiewać



piosenki patriotyczne, czytał literaturę polską. Kiedy zmarł Józef Piłsudski, ojciec wraz z jej starszym bratem Zenkiem zebrali ziemię do woreczków i zawieźli ją na grób Piłsudskiego.

Dzieci od małego pomagały rodzicom w gospodarstwie. Mała Mila pasła krowy. Chodziła do szkoły w niedalekiej wiosce. Tam odczuwała, że jest Polką, bo ukraińskie dzieci jej dokuczały. Zapamiętała fakt, jak chłopcy podnosili jej spódnice, żeby zobaczyć jej bieliznę, bo ukraińskie dzieci jej nie nosiły. To bardzo złościło dziewczynkę. Rodzina również odczuwała negatywny stosunek do nich ze strony ludności ukraińskiej.

Kiedy wybuchła II Wojna Światowa, Mila miała 10 lat. Wtedy powołano ojca do wojska. W związku z tym, że Ukraińcy prześladowali ich jako Polaków, ze strony władz otrzymali nadzór kobiety, która miała donieść kiedy ojciec wróci z wojny. Dnia 17 września kiedy Rosja wypowiedziała wojnę Polsce, matkę, ją i młodszego brata zabrano z domu i umieszczono w lochu pobliskiego dworu. Starszy brat uciekł w pola i schował się w wysokiej trawie. W lochu przesiedzieli całą noc. Matka myślała, że ich na pewno rozstrzelają. Ale ujął się za nimi zaprzyjaźniony Żyd, który był w partyzantce ukraińskiej. Rodzice Mili bardzo dobrze żyli z Żydami tam mieszkającymi. Często podejmowali ich gościną, gdy oni przyjeżdżali z handlem obwoźnym. Matkę i dzieci wypuszczono z rana, ale cały czas później byli obserwowani. Dnia 22 października 1939r. ojciec wrócił z wojny - był ranny podczas działań wojennych. Radość z jego obecności nie trwała długo, bo ojciec chrzestny jej brata, zadenuncjował ojca do Ukraińców. Zaraz przyszli po niego i uwięzili go w pobliskim Drohiczynie. Kiedy brat Marian pojechał odwiedzić ojca do więzienia, zobaczył, że ojciec był bardzo pobity, wszystkie zęby miał wybite i był pokrwawiony. To było ostatnie widzenie z ojcem, nigdy go już nie zobaczyli. Został zamordowany i nie wiadomo gdzie jest pochowany.

Nastaly ciężkie czasy dla rodziny, byli cały czas prześladowani. W nocy 10 lutego 1940 roku rozpoczęła się deportacja Polaków w głąb Rosji. Nad ranem przyszli Rosjanie z partyzantami ukraińskimi i kazali im się spakować w ciągu jednej godziny. Mama spytała się gdzie pojadą, oni odpowiedzieli, że jedzie do męża. W związku z tym, że przewidywano, że ich wywiozą, mama wieczorem kazała bratu zabić kilka kur i zapakować do worka, więc kiedy ich zabierano, mieli już przygotowane jedzenie. Pozwolono im zabrać jeszcze pierzynę i pościel, oraz ciepłą odzież, bo tam gdzie jadą, będzie zimno. Zabrano im wcześniej dobrego konia i tylko chorego pozostawiono, którego zaprzęgnięto w sanie. Na tych saniach dowieziono ich do budynku szkoły, gdzie były już polskie rodziny, sąsiedzi – między innymi rodzina Gieni Rataj, która również mieszka obecnie w Leicester.

Tego roku była bardzo ostra zima. Po dwóch dniach, wszystkich wpakowano do wagonów bydlęcych, w których znajdowały się pryzce. Dzieci umieszczono na górnych pryzkach. Bez jedzenia i picia w mrozie jechali piętnaście dni. Po drodze, ludzie z wycieńczenia umierali, więc ciała ich wyrzucano prosto na tory kolejowe. Ich docelowa stacja to była Jemna – Piesieckij Rejon „Kuchto oziero”, była to ostatnia stacja przed Archangielskiem. Zaprowadzono ich do obozu pracy - posiołku, gdzie już były baraki drewniane wybudowane wcześniej przez zesłańców. Tam dostali talony na



jedzenie - czarny gliniasty chleb i zupę, i rozpoczął się werbunek do pracy. Starszy brat został skierowany do pracy w lesie - „lesoróbka”, a młodszy Zenek rąbał drzewo do piekarni. Mama po urodzeniu Mili miała poważną operację i była słaba na zdrowiu. Zdawała sobie sprawę, że nie przeżyje pracy w lesie, więc musiała kombinować. Dobrze, że w posiołku była polska lekarka, więc ona jej pomagała i wystawiała zwolnienia od pracy w lesie.

Mała Mila jak inne dzieci, poszła tam do szkoły rosyjskiej. Pamięta, że wymagano od nich bardzo trudnej gimnastyki, ale sobie poradziła. Wielką trudnością dla niej było brak znajomości języka. Pamiętała również, że nie wolno było się przyznać, że wierzy w Boga.

Mama była sprytna i dostała się do lżejszej pracy przy torach kolejowych. Wraz z jeszcze jedną kobietą miały pilnować, żeby iskry z przejeżdżającej lokomotywy nie zapaliły trawy i krzaków przy nasypie kolejowym. Jak zauważyły ogień gasiły go wodą z wiader i zasypywały piaskiem. W tym posiołku przebywały do 25 lutego 1941 roku - do nadejścia amnestii (umowa Sikorski –Majski). Ogłoszono wtedy, że Polacy są wolni i mogą wyjechać. Ale nikt nie wiedział gdzie mogą wyjechać, skoro dookoła były same lasy.

Po jakimś czasie Rosjanie podstawili wagony towarowe, do których wsiadła rodzina Mili - Mila, mama, Zenek i Marian. Kierowano zesłańców na południe Rosji. Trzy miesięczna powrotna podróż okazała się koszmarem. W wagonie mieli tylko wodę śniegową. Pociąg stawał na odludziu, albo na stacjach. Nie miał rozkładu jazdy. Ludzie wysiadali aby zaopatrzyć się w żywność. Jej brat Marian wziął talony na jedzenie i wraz z innymi mężczyznami wyszedł zdobyć jakieś pożywienie. W tym czasie pociąg odjechał i resztę rodziny znajdującej się w wagonie pozostało bez środków do życia. Musieli razem z sąsiadką Tosią żebrać, aby przeżyć. Mila pamięta, że Rosjanie bardzo im pomagali. Z bratem spotkali się dopiero w stolicy Kazachstanu, Ałma Acie. Brat był bardzo wyniszczony, na szyi miał otwarte rany od ugryzienia wesz. Również żołnierze rosyjscy mieli brudne kołnierze, w których gnieździły się wszy. Wtedy wszy były na dziennym porządku.

Z Ałma Aty, już całą rodziną ruszyli do stacji Dżalalabad (Kirgistan). Niedaleko tam była placówka Polskiego Wojska, która rozpoczęła rekrutację i formowała swoją jednostkę. Tam Zenek wstąpił do wojska, do Junaków, wiek mu pozwalał, bo mama synowi sfalszowała datę urodzenia. Gdyby dostał się do służby wojskowej, to na pewno by wojny nie przeżył.

W związku z tym, że tak wielka ilość Polaków uciekała z Rosji, nie było miejsca w pociągu dla wszystkich, więc ludzie musieli czekać na transport. Dlatego też wysłano ich na osiołkach w wysokie góry w kierunku Frunzy. Tam też między Kirgizami spotkali kilka uciekających polskich rodzin. Panował wielki głód, więc mężczyźni zabijali psy, które jedli. Ogień rozniecili krzemieniem, bo nie mieli zapalek. Tam też wszyscy zachorowali na tyfus. Mama była już bardzo chora i przygotowywała dzieci na swoją śmierć. Ale dzięki opatrności boskiej wyzdrowiała, choć była bardzo słaba. Następnie na osiołkach ruszyli w dalszą drogę, bliżej cywilizacji do wsi Lenin. Tam dostali mieszkanie w chlewach po świnich, w których na postanie była tylko



słoma. Po kilku dniach mama sprzedała pierzynę i kupiła osiołka, aby ruszyć w dalszą podróż i tak w trójkę - dzieci szły, a słaba mama jechała na osiołku, dotarli do wsi Pierwoj Maj. Na drodze spotykali Kirgizów, którzy dawali im mleko kobyłe. Kiedy Marian przechodził przez rzekę po pszenicę, nurt rzeki go porwał. Na szyi miał zawieszane buty. Kiedy się wydostał z wody butów już nie miał, nurt wody je porwał. Mila pamięta jak bardzo płakał bo został bez butów. Pani Mila pamięta, że ci Kirgizi byli bardzo dobrzy, zawsze na progu zostawiali im mleko kobyłe dzięki któremu mogli żyć.

Następnie, na osiołku dostali się do kołchozu, gdzie zamieszkali również w chlewie. Mama była bardzo słaba, nie mogła pracować, więc do pracy przy przebijaniu ziemniaków poszła Mila. To był maj, w tym chlewie mieszkali razem z Panią Bondziową i jej synem. Pewnego dnia przyszedł do nich Ukrainiec dobrze ubrany, który był bardzo chory i ogromnie cierpiał. W związku z tym, że jej mama знаła się na ziołach, przygotowała mu mieszankę z mięty i piołunu. Przyjęła go również na nocleg. Kiedy rano kobiety poszły do pracy, on sam został. Mama jej została skierowana osobno do plewienia zielska. W południe Pani Bondziowa kazała iść Mili zobaczyć co słychać z tym chorym Ukraińcem. Kiedy Mila przyszła tam, zobaczyła, że ten człowiek powiesił się z bólu. Oczy miał wytrzeszczone, co przstraszyło dziewczynkę. Natychmiast przybiegła powiadomić o tym sąsiadkę. Ta kazała jej wracać i zobaczyć czy w kieszeniach mężczyzna nie ma jakiś pieniędzy. Mała Mila sprawdziła kieszenie i okazało się, że był tam portfel, który później oddała kobiecie. Bondziowa przeliczyła pieniądze, była to duża suma, którą nierówno podzieliła – ruble dała Mili, a sama zostawiła sobie czerwienice (30 rubli na czerwienca). Mila szybko zaniósła pieniądze mamie, a portfel z małą kwotą włożyła z powrotem do kieszeni Ukraińca. Te ruble później uratowały im życie.

Po niedługiej chwili, przyjechali ludzie z Komitetu, obwiązali ciało mężczyzny sznurami i pociągnęli za koniem przez wysoką trawę. Kiedy Mila spojrzała na kieszeń w mundurze tego człowieka, okazało się, że portfela już nie było, któryś z tych żołnierzy go ukradł. Pani Mila wspomina, że wcale się nie bała, bo już tak była przyzwyczajona do śmierci ludzi.

W następnej wiosce Michałówka, na tułaczey drodze spotkali dobrą i serdeczną kobietę, u której zamieszkali. Była to Pani Antosia. Miała krowę, więc dostali mleka, a brat Marian za to pomagał zgromadzić siano dla krowy. Kosił łąkę i znosił siano na plecach z wysokiej góry. Pani Antosia miała również sad z morelami. Mila wspinała się po drzewach i zbierała je do koszyka. Później, kiedy Pani Antosia była w pracy, mała Mila sprzedawała je przy drodze. Tam też spotkały polskich żołnierzy, których Pani Antosia przyjęła na nocleg. Od tych żołnierzy mama kupiła wódkę, z której zrobiła lekarstwo – mieszankę ziołową, którą zabrała na dalszą drogę.

To był początek sierpnia 1942 roku. Rodzina dotarła do Dżalalabadu na dworzec kolejowy. Tam wsiedli do wagonów bydłowych z innymi Polakami. Po drodze dostawali przydział na jedzenie – to była wołowina w puszkach. Okazało się, że wygłodniaли ludzie po zjedzeniu tego, bardzo chorowali. W wagonie zachorowali na dezynterię krwawą. Dużo dzieci umarło. Leżąc na pryczach mieli wielkie biegunki,



które ich zabijały. Ci co spali na dolnych pryczach narażeni byli na zalewanie ekskrementami chorych. Ale rodzina Mili nie bardzo chorowała, bo mama kazała im pić tą wódkę z ziołami. Tak dotarli do Krasnowodzka. Tam po kolei zabierani byli na okręt. Ludzie, którzy organizowali przeprawę, kazali im oddawać ruble, nie wolno im było ich przewieźć. Mama Emilii, nie oddała pieniędzy tylko zostawiła je pod kamieniem na plaży.

Później, całą noc płynęli okrętem do portu Pahlawi. Trwała jeszcze wojna i były działania wojenne. Tam obozy uchodźców były na plażach, namioty i spanie na piasku. Karmiono ich ryżem i chlebem ryżowym, aby odkarmić wyniszczone organizmy. Do ubrania dostali czystą odzież, tamta zawieszona została spalona. Dzieciom ogolono głowy. Później lorami (samochodami) przewieźli ich do Teheranu, gdzie ludzie, którzy odebrali zesłańcom ruble założyli z nich sobie konta w tamtejszych bankach. Nieuczciwość ludzi często się zdarzała.

W Teheranie przywitał ich Maharadza. To był bardzo dobry człowiek dla dzieci, pomógł ich odżywić. Zalecano, aby dzieci oddawać do sierocińców, aby je lepiej karmić, ale mama nie oddała Mili bo bała się, że się zgubią. Dlatego dalej spały pod namiotami na plaży. Następnie pojechali do Afchazu. Tam ich zakwaterowano w stajniach po koniach. Wtedy Mila zachorowała na jaglicę – choroba oczu, przez którą wieczorem traciła wzrok.

Z Afchazu popłynęli okrętem do Karaczi w Pakistanie. Zakwaterowano ich na pustyni pod namiotami. Dookoła wszędzie były wielkie kaktusy. Ale mieli już łóżka, po raz pierwszy Mila spała na łóżku. Nie było na nich materacy, ale były miękkie bo były plecione z juki. Tam była też stołówka – karmili ich jagnięciną. Bardzo to Mili smakowało. Pamięta tylko, że w talerzach pływały duże muchy, które należało przed jedzeniem wyciągać na brzeg talerza.

Z Karaczi okrętami popłynęli do Mombasy. Była wojna, więc na okręcie przebywali dłużej niż planowano. Tam w Mombasie zachorowała i znalazła się w szpitalu. Do dzisiaj pamięta jak bardzo jej się tam podobało, piękne białe łóżka, miła obsługa i dobre jedzenie. Jako już większa dziewczynka do Nairobi pojechała z grupą dziewczyn, aby zwiedzić miasto. Mila widziała go po raz pierwszy i zrobiło na niej wielkie wrażenie. Później pociągiem przewieziono ich do Kodży w Ugandzie, gdzie zakwaterowano w obozie uchodźców w dżungli nad jeziorem Viktoria niedaleko stolicy Ugandy. Mila pamięta, że podczas kąpieli w jeziorze jednego chłopca porwał krokodyl. W tym obozie zaczęły się normalne warunki do życia. Mimo, że nie mieli książek i zeszytów, zaczęła się nauka w szkole. Przybyli z nimi nauczyciele sprzed wojny, podejmowali pracę z dziećmi. Tworzyło się harcerstwo, które bardzo dobrze Mila wspomina. Nauczycielki z prześcieradeł szyły dziewczynkom sukienki. Wszystkie dzieci były czyste i zadbane.

Jej mama już nie mogła pracować, była chora i słaba, otrzymali więc zapomogę pieniężną 10 szylingów na owoce, bo jedzenie podstawowe mieli na miejscu. Tam rodzina przebywała sześć lat.

Do Anglii przyплыли statkiem w 1948 roku. Tutaj, jak wszyscy zamieszkali w obozach przesiedleńczych pod Leicester, których było pięć. Po jakimś czasie



wyprowadziła się do miasta, wyszła za mąż i urodziła cztery córki. W Leicester mieszka 70 lat w domu, który kupiła wraz z mężem. Powiedzenie Pani Emilii, które pozwoliło jej przetrwać ciężkie chwile to „Głowa do góry, pierś wypięta i do przodu”. Pani Mila jest osobą bardzo religijną, brała czynny udział przy budowie polskiego kościoła w Leicester. Aktywnie uczestniczy we wszelkich pracach na rzecz parafii.



Pani Emilia Bisewska



To właśnie w Klubie Polskim w Leicester poznałam wielu Sybiraków i również panią Emilię. Kiedy z okazji 100-lecia Niepodległej Polski zorganizowałam akademię parafialną, na widowni siedziała Pani Mili i w rękę trzymała fotografię swojego ojca. Powiedziała mi, że w ten sposób może dać świadectwo bohaterstwa i walki swojego ojca za wolną Ojczyzną. Ta sytuacja poruszyła mnie, bo była tak inna niż dzisiejsza rzeczywistość. Kiedy opowiadała mi historię swojego życia miała, jedno marzenie, aby dowiedzieć się co stało się z jej ojcem, jak zginął i czy został pochowany. Mówiła do mnie, że na pewno rozdziobały jego ciało kruki i wrony. Razem z braćmi próbowali przez Czerwony Krzyż odnaleźć jakiś ślad ojca, ale niestety nie udało się.

Będąc w Polsce, za radą Pani Dyrektor ZS w Łąckiej Górnej Haliny Pączek skontaktowałam się z mieszkańcem Łątki Górnej, historykiem Panem Dominikiem Guzikiem, który pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej. Opisałam mu historię kilku Sybiraków z Leicester i między innymi Pani Emilii. Zapytałam go, czy byłaby możliwość po tylu latach dowiedzieć się coś na temat śmierci ojca Pani Emilii. Pan Dominik podjął się tego zadania i rozpoczął poszukiwania. Po kilku tygodniach napisał do mnie dobrą wiadomość, że odnalazł ślady jej ojca w posiadanych dokumentach. Jakaż była radość Pani Mili kiedy jej przekazałam wiadomości, na które czekała siedemdziesiąt pięć lat - od zakończenia II Wojny Światowej.

Z dostępnych dokumentów które są w posiadaniu Pana Guzika wynika, że jej ojciec, Pan Józef Słomka, plutonowy rezerwy Wojska Polskiego, po aresztowaniu 22 października 1939 roku był więziony w Drohiczynie Poleskim, a następnie został przewieziony do więzienia w Mińsku. Mógł zostać zamordowany na mocy decyzji z dnia 5 marca 1940 roku w Mińsku przez tamtejsze NKWD i pochowany w masowej mogile w Kuropatach pod Mińskiem. To są oczywiście informacje nie potwierdzone na 100%. Wiadomo jednak, że w styczniu 1940 roku jeszcze żył. Wskazuje na to „białoruska lista katyńska” powoli rekonstruowana przez historyków. Pan Józef Słomka znalazł się na liście osób, które były przetrzymywane do wiosny 1940 r. w więzieniach na terenie północno - wschodnich województw Polski.

I tak, zagadka rodziny Pani Emilii Bisewskiej została rozwiązana przez Pana Dominika Guzika z Łątki Górnej. Życiorys ojca pani Emilii został zakończony, a rodzina znalazła spokój - starszy brat obecnie ma 96 lat, młodszy 94 lata. Być może, wnuki Pana Słomki kiedyś zapalą znicz na jego mogile, o czym zawsze marzyła nasza bohaterka.



Pani Emilia kieruje do Pana Dominika podziękowania za nieocenioną pomoc i wyraża swoją wdzięczność za wkład pracy w poszukiwania. Ja, ze swej strony również dziękuję za współpracę.

Leicester, sierpień 2019 r.

Słomka Józef, ojciec Pani Emilii.



Tadeusz Olszewski

Archiwum Społeczne

biory Archiwum Społecznego Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej, dzięki ofiarności społecznej, ciągle się powiększają. W zbiorach znajdują się m. in. fotografie i dokumenty, zarówno w wersji papierowej, jak i cyfrowej. Dzisiaj przedstawiamy Czytelnikom "Kroniki Ziemi Żegocińskiej" niewielką część zbiorów pozyskanych od Rodziny śp. Czesława Blajdy. Składamy serdeczne podziękowania Pani Marii Gwóźdz i Mieczysławowi Blajdzie za przekazane i udostępnione materiały.

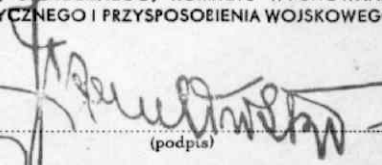


Kopia zaproszenia Czesława Blajdy na uroczystość wręczenia sztandaru dla Gminnej Spółdzielni w Żegocinie, w dniu 5 maja 1963 roku.





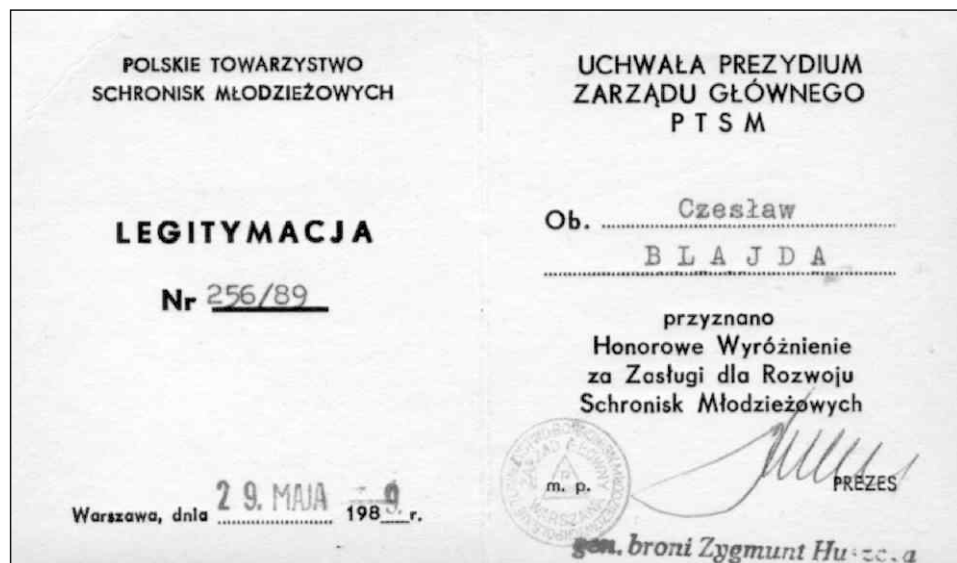
Zdjęcie wykonane przez Czesława Blajdę przedstawiające elektryfikację wsi Rozdziele, rozpoczętą w 1957 roku i zakończoną dwa lata później.

ŚWIADECTWO PAŃSTWOWEJ ODZNAKI SPORTOWEJ	
Nr <u>210</u>	rok <u>1934</u>
<u>Blajda Czesław</u> (nazwisko) (i imię)	
UZYSKAŁ PRAWO DO NOSZENIA PAŃSTWOWEJ ODZNAKI SPORTOWEJ KLASY <u>brzeziej</u> STOPNIA <u>pierwszego</u> , NA PODSTAWIE DECYZJI WOJEWÓDZKIEGO (STOŁĘCZNEGO) KOMITETU WYCHOWANIA FIZYCZNEGO I PRZY- SPOSOBIENIA WOJSKOWEGO W WARSZAWIE DNIA <u>11 sierpnia</u> 1934 R. L. DZ. <u>W. X/2/51/34</u> Z WAŻNOŚCIĄ DO DNIA 31 GRUDNIA 19 <u>35</u> ROKU.	
 (pieczęć)	PRZEWODNICZĄCY POWIATOWEGO (MIEJSKIEGO, STOŁĘCZNEGO) KOMITETU WYCHOWANIA FIZYCZNEGO I PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO  (podpis)
Ważne przy jednoczesnym okazaniu dowodu osobistego Wzór Nr. 6 (do 8 263)	

Skan Świadectwa Państwowej Odznaki Sportowej nr 210 z 1934 roku potwierdzające prawo noszenia tej odznaki przez Czesława Blajdę.



Skan wewnętrznej części legitymacji PTSM (Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych), na podstawie której Czesław Błajda otrzymywał zniżki na noclegi w schroniskach młodzieżowych. Są tu pieczątki odwiedzonych schronisk, m. in. w Chester (Anglia), Snowdon Bryn Gwynant i Dolgellau (Walia).



Skan wewnętrznej części legitymacji Honorowego Wyróżnienia za Zasługi dla Rozwoju Schronisk Młodzieżowych, przyznanego Czesławowi Błajdzie przez Zarząd Główny PTSM 29 maja 1989 roku.



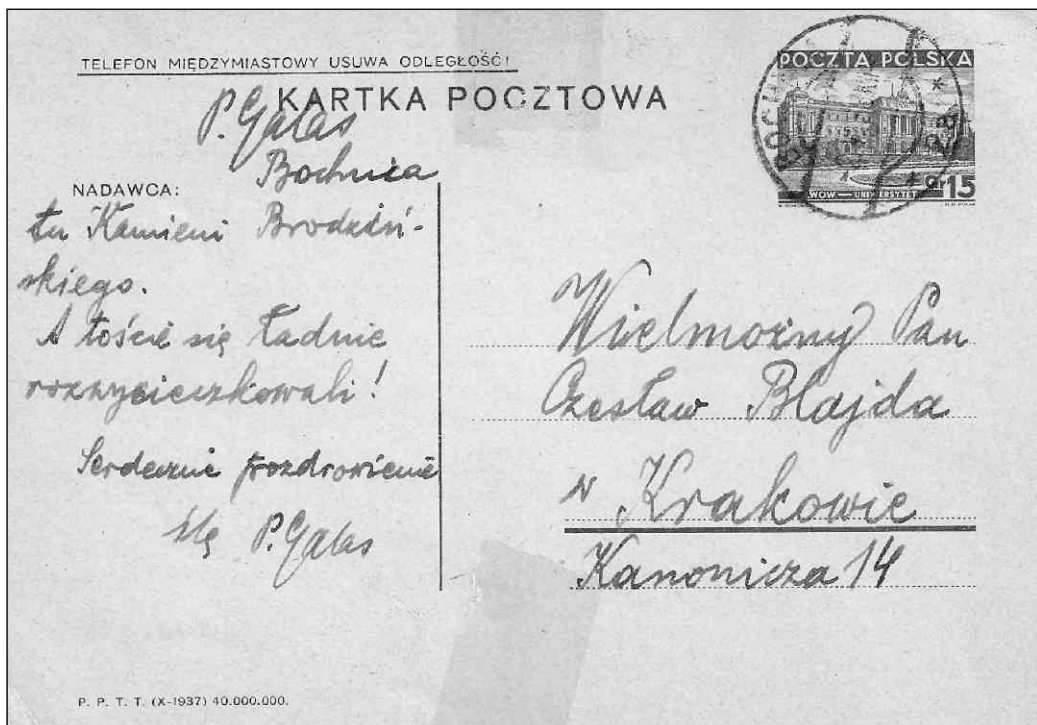


Fotografia z sierpnia 1965 roku przedstawiająca fragment spotkania uczestników XXV Konferencji Federacji Schronisk Młodzieżowych, zorganizowanego w Żegocinie. Zdjęcie wykonano przed budynkiem Gromadzkiej Rady Narodowej w Żegocinie. Widoczny sztandar Międzynarodowej Federacji Schronisk Młodzieżowych (IYHF).



Kopia zdjęcia wykonanego podczas sesji naukowej zorganizowanej w sali gimnastycznej w szkole w Żegocinie z okazji 700-lecia Parafii Żegocina. Od lewej: ks. Antoni Poręba, Jerzy Pączek, Zofia Pasek, Czesław Blajda.





Skan przedniej części karty pocztowej wysłanej z Bochni 1 czerwca 1938 roku przez Piotra Galasa do Czesława Błajdy. Piotr Galas uczył greki, łaciny i języka polskiego w gimnazjach w Tarnopolu, Mielcu, a od 1920 do 1952 roku w Bochni. W latach 1938- 1947, z wyłączeniem lat okupacji, był dyrektorem tej szkoły.

Miejsce na notatki



Od lipca do maja, czyli kalendarium ważniejszych wydarzeń

20 lipca 2019 - Joanna Pastuszek-Cybulska oraz Tadeusz Olszewski udzielili wywiadu redaktorowi Janowi Stępniewi, autorowi audycji „Pejzaże Regionalne” emitowanej na falach Radia Kraków. Po raz kolejny mieliśmy szansę opowiedzieć o naszych wydawnictwach książkowych, pracach porządkowych na Biedroniówce oraz planach na najbliższy czas.

21 lipca 2019 - stoiskiem prezentującym nasze publikacje, po raz pierwszy zaznaczyliśmy swoją obecność na V Limanowskim Jarmarku Historycznym św. Marii Magdaleny. Odbychał się on pod nazwą „Born in PRL ... w drodze do wolności” i dedykowany był wspomnieniom czasu Rzeczypospolitej Ludowej.

1 sierpnia 2019 - w Łącku Górnej uczestniczyliśmy w obchodach 75. rocznicy Powstania Warszawskiego. Tadeusz Olszewski, prezes SPZZ wspominał sylwetkę poległego w wypadku samolotowym radiotelegrafisty Stefana Bohanesa. Obchodom uroczystości towarzyszyła plenerowa wystawa fotografii wspomnianego żołnierza.

2 sierpnia 2019 - otwarcie wystawy fotografii autorstwa krakowskiego architekta Jana Schuberta. Wystawa zatytułowana „Cmentarze żołnierskie bitwy pod Limanową i Łapanowem 2-12.1914” prezentowała 30 fotogramów cmentarzy Galicji Zachodniej. Podczas otwarcia wystawy, jej autor udzielił obszernej wypowiedzi na temat analizy budowy wojennych nekropolii, ich znaczenia i stanu obecnego. Wystawa prezentowana była w Galerii Wiejskiej cały miesiąc sierpień.

17 sierpnia 2019 - podczas wydarzeń wpisujących się w 726. Urodziny Żegociny, Joanna Pastuszek-Cybulska oraz prezes Tadeusz Olszewski prezentowali gościom dwie najnowsze publikacje - piąty numer „Kroniki Ziemi Żegocińskiej” oraz pierwszy zeszyt z serii „Żegocińskiego Słownika Biograficznego” dedykowanego osobom pedagogów związanych z naszą gminą.

1 września 2019 - delegacja naszego stowarzyszenia uczestniczyła pod żegocińskim Pomnikiem Ofiar Poległych za Ojczyznę w obchodach 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. W imieniu naszego stowarzyszenia kwiaty i znicze złożyli Anna Kądziała oraz Mieczysław Blajda wraz z żoną.



7 września 2019 - otwarcie wystawy zdjęć pt. „Żegocina w starej fotografii”. Prezentowane zdjęcia pochodziły z repozytorium naszego Archiwum Społecznego. Wydarzenie wpisane zostało w powiatowe wydarzenie „Weekend z zabytkami Powiatu Bocheńskiego”.

15 września 2019 - reprezentujący nasze stowarzyszenie Zdzisław Janiczek wraz z żoną odbyli podróż do Rudy Kameralnej, gdzie na wzgórzach wsi odbyła uroczystość związana z 72. rocznicą śmierci żołnierza podziemia prowadzącego działania zbrojne na terenie ziemi tarnowskiej kpt. Jana Dubaniowskiego ps. „Salwa”.

25 listopada 2019 - wernisaż poplenerowej wystawy prac uczniów szkół naszej gminy. Prezentowane prace powstawały podczas VII Pleneru Malarskiego w Bytomsku.

16 grudnia 2019 - premiera książki pod red. Tadeusza Olszewskiego „Mieszkańcy południowej bocheńszczyzny w walce o niepodległość Polski w XIX i XX wieku”. Premiera odbyła się przy udziale uczniów szkoły muzycznej w Żegocinie, jak również wielu gości którzy brali udział w dyskusji na temat celów i osiągnięć pola walki naszych rodaków.

12 marca 2020 - posiedzenie Zarządu SPZZ. Jego celem było przygotowanie dokumentów i planu koniecznych do planowanego na kwiecień Walnego Zebrania Członków. W związku z pandemią koronawirusa, planowane WZC nie doszło do skutku i przełożone zostało na czas późniejszy.

16 maja 2020 - msza św. w 25. rocznicę śmierci Czesława Blajdy - Patrona naszego stowarzyszenia. Ze względu na warunki epidemiologiczne, przebieg mszy uwarunkowany był koniecznością zakrycia twarzy масечzkami oraz schowaniem dystansu 2 m względem osób przebywających na mszy. Celebransami podczas mszy byli: ks. Leszek Dudziak, ks. rezydent Jana Wachala oraz ks. Mateusz Nowak.



Spis treści

WSTĘP

Słowa Pierwsze - Joanna Pastuszek-Cybulska3

ŻEGOCIŃSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

- Tadeusz Olszewski4

WSPOMNIENIA CZASU WOJNY cz. II

Kampania wrześniowa to był najgorszy okres w moim życiu

- Władysław Hejmo10

DOKUMENTALIA

Kronika Gminy Żegocina. Przedruk19

ŚCIEŻKI I BEZDROŻA

Słynąca ze wspaniałych miodów ziemia żegocińska - Zdzisław Janiczek33

WYKŁADY Z HISTORII

Cmentarze I wojny światowej okolic Żegociny

- Zbigniew Ellnain, Tadeusz Olszewski48

ARCHITEKTURA

Dawne drewniane budownictwo Żegociny i okolic. Część trzecia

- Tadeusz Olszewski57

HISTORIE DO OCALENIA

Głowa do góry, pierś wypięta i do przodu!

- Alicja Janiczek66

ARCHIWALIA

Archiwum Społeczne Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Żegocińskiej

im. Czesława Blajdy - Tadeusz Olszewski73

Z KALENDARZA

Kalendarium78





Na okładce skansen uli Zdzisława Janiczka
oraz wiatrak z Rozdziela - lata powojenne.

ISBN 978-83-64624-36-0